Nr. 35. Poznań, Niedziela dnia 1-go Września 1901 r. Rok V.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 m.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal. Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal. za Oceanem 1 dolar 25 cent.

Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Wielki Namiestnik Chrystusowy.

Szczególnemi łaskami od Boga darzony, uwielbiany przez wierne Kościoła dzieci, czczony przez najzaciętszych wrogów katolickiego wyznania, opromieniony blaskiem jakiejś wyższej, nieokreślonej chwały, wstąpił Ojciec św. Leon XIII dnia 20 lutego b. r. w rok 24-ty Chrystusowego Swego Namiestnictwa. Z 262 Papieżów, którzy poprzedzili świetne panowanie Leona XIII, zaledwie 11-tu doczekało się dwudziestolecia swych rządów, a nie było dotąd w tym licznym świątobliwym zastępie ani jednego, któryby na tronie papieskim obchodził sześćdziesiątą rocznicę kapłaństwa, a złoty jubileusz biskupstwa.

Ostatnie lata rządów Ojca św. Leona XIII uświetniły, jak wiadomo, niezwykle uroczyste pamiątki, a obchody ich tym wspanialszego nabierały blasku, że w nich bardzo żywy brały udział miliony — miliony ludów na obu półkulach naszego globu.

I dziwnem zaiste zjawiskiem ta olbrzymia, niezmienna w swej istocie, a tak tajemnicza potęga Głowy Kościoła św., potęga, która przy każdej nowej uroczystości objawiła się zdumionemu światu w aureoli niepojętej, niewytłomaczonej żadną materyalną siłą. Ani legiony wojsk zbrojnych od stóp do głowy, szańce bagnetami najeżone, ani warownie z paszczami tysięcy armat, skierowanemi na wszystkie świata strony, ani niezliczone zastępy urzędników, gotowych bezwzględnie, a nawet brutalnie wykonywać równie bezwzględne i brutalne przepisy i rozporządzenia, nie stanowią o istocie tej potęgi, której najwyższe władztwo spoczywa obecnie w drżącej dłoni 91 letniego świątobliwego starca. A jednak bez tej obłudy, z jaką korzą się ludzie przed symbolami świeckiej potęgi, bez przymusu, z jakim nieraz każą pachołki tronów wznosić okrzyki na cześć monarchów, bez wstrętu, jaki częstokroć przenika tłumy na widok blichtru i szychu władzców, niezliczone milionowe zastępy ludów z uwielbieniem w sercu i modlitwą na ustach, uszlachetnione w uczuciach i podniesione na duchu idą na jedno skinienie tą drogą, którą Najwyższy Władzca Kościoła iść każe.

Przedziwny zaiste talisman tej potęgi, tego władztwa nad wolą i sumieniami ludzi, a talismanem tym jest istota Boga, światło prawd Chrystusowych, świętość bożych przykazań.

To właśnie władztwo jest najwyższe, co kieruje najlepszemi duszy ludzkiej pierwiastkami, władztwo, które nie zmusza, a przekonywa, które nie upadla i nie poniża, ale uzacnia i podnosi. Takie władztwo najwyższe spoczywa w ręku papieży, a obecnie w ręku Namiestnika, którego światłem na niebie, którego Wielkim powszechnie nazywają.

I zaiste wielkim jest Ojciec św. Leon XIII, wielkim w swej wiedzy, wielkim w sercu i myśli, wielkim w swych czynach. Czy to przeciwdziałając sekciarstwu masońskiemu, czy też ucząc filozofii chrześcijańskiej, czy też wnikając w stosunki socyalne, szczególnie w stosunki pracodawców i robotników, czy w końcu roztaczając opiekę swą i wpływy na misyonarzy i biskupów — zawsze i wszędzie wielkość Leona XIII w pełnym ukazuje się blasku.

Zewsząd też, jakkolwiek rząd włoski wydarł przemocą stolicę Kościołowi, Ojca św. spotykają objawy czci ze strony największych mocarstw: Belgia, Rosya i Niemcy zawiązały z Watykanem przerwane poprzednio stosunki; taki wróg, jak ks. Bismark, musiał oddawać Ojcu św. tytuły monarsze;

cesarz austryacki Franciszek Józef, niechcąc uwłaczyć Namiestnikowi Kościoła nie oddaje wizyty królowi włoskiemu w Rzymie; cesarz Wilhelm II złożył w Watykanie w formie osobistej wizyty swoje uszanowanie; nawet sułtan turecki, ilekroć się zdarzy, nie skąpi Ojcu św. objawów czci i uwielbienia.

Każdej też uroczystości, wiążącej się z jaką rocznicą Jego Świątobliwości, towarzyszą zewsząd najrozmaitsze owacye. I tak dzień 18 w bieżącym miesiącu, jako rocznica Imienin, był świetnym dniem owacyjnym. W opisie w dziale illustracyjnym podanym znajdą czytelnicy niektóre szczegóły z uroczystości w dniu św. Joachima, patrona Jego Świątobliwości.

W dniu tym cały naród polski przenosił się w myśli i sercu życzeniem do stóp papiezkiego tronu, i zanosił modły do Boga, ażeby jak najdłuższem zdrowiem darzyć raczył Wielkiego Ojca Kościoła, który czasu swego pocieszając Polaków, zalecał im trzy zbawcze cnoty: *cierpliwość, wiarę i męztwo.* *Wasz.*



My pójdziemy sami.

W Osnabrück, starożytnem mieście, pełnem pamiątek katolickiej przeszłości Niemiec, obraduje obecnie wiec katolików z całych Niemiec.

O krzywdach, wyrządzonych i wciąż jeszcze wyrządzanych katolikom w Niemczech przez faworyzowany z góry prąd protestanckiej propagandy, radzą mężowie stojący dziś na czele katolickiego świata Niemiec — a duch Windhorsta, wielkiego wodza stronnictwa, unosi się nad poważnym tym wiecem, skrzydłami czcigodnych tradycyi osłaniając jego dążenia, uchwały i cele.

Jeden po drugim występują przed oblicze zgromadzenia mówcy, opowiadając o postępach i zwycięztwach katolickiej sprawy w rozmaitych częściach niemieckiego państwa; z ich ust płynie świadomość siły, jaką posiada stronnictwo całe, a gdy skarga na krzywdę jaka zabłąka się wśród te obrady, w ślad za skargą idzie rada, jak złemu zaradzić. I kolejno obrady przechodzą wszystkie punkty żywotne egzystencyi katolickiego społeczeństwa — i dola klas pracujących, i dzieła dobroczynności publicznej, i powrót wypędzonych zakonów, i wychowanie dzieci, i sprawa pożytecznych wydawnictw kolejno przychodzi pod rozprawy, a każda skarga silnem echem odbija się wpośród zgromadzenia.

Jedna skarga tylko natrafia na głuche uszy; napróżno z nad Warty i Odry biegnie głos oskarżenia, skierowany przez polskie społeczeństwo przeciw zaprowadzeniu niemieckiego wykładu religii.

Nie skłania się ku niemu sentyment zgromadzenia. Z nad Warty biegnie krzyk bólu, echa krzywd, wyrządzanych katolickiemu poczuciu ludności, z Westfalii biegnie głos rozpaczliwy, domagający się opieki duchownej — lecz zebranie katolików pozostaje na to nieme i głuche.

I gdzieżeś duchu Windthorsta, coś hasło sprawiedliwości wobec Polaków stawiał ponad wymagania i korzyści oportunistycznej polityki? Gdzież jesteście wy wszystkie duchy świetlane, co w szlachetności serc swych zrodziliście szczytne hasło: „Für Wahrheit, Freiheit und Recht!“ a ogniem swego szczerego przekonania, podniosłością swych myśli, potrafiliście tę zasadę *prawdy, sprawiedliwości i prawa* postawić tak wysoko, że cały lud niemiecki katolicki szedł za Wami, jak ów lud izraelski, prowadzony przez Pana Zastępów w postaci ognistego słupa!

Gdzież jesteście?!

Zbladły szczytne słowa tych zasad na proporcach stronnictwa katolickich Niemców; duch oportunizmu wziął nad niemi górę, a na piersiach przewodników stronnictwa błysnęły ordery państwowe, tytuły cesarskie i zaszczyty dworskie.

Duch Windhorsta z boleścią spoglądać musi na tę przemianę swego stronnictwa i myśl o zmienności wszystkiego, co ludzkie, ogarniać go musi całunem smutku...

Ideę katolicyzmu postawiliście rzekomo najwyżej, wyżej od polityki związanej z różnicami narodowości. To szczytnie, to szlachetnie.

Ale dlaczegóż uszy wasze pozostają głuche na ten jęk boleści, który się wydobywa z piersi katolickiego sąsiedniego społeczeństwa na widok, jak w nauczaniu religii dzieci dzieje się gwałt i przymus sumieniom? Czy nie słyszycie tych skarg, tych okrzyków bólu, które biegną ku Wam z ziem wielkopolskich i górnośląskich? Naszym dzieciom zabierają za jednym zamachem religię i narodowość, gwałt zadają sumieniom rodziców, w straszną rozterkę wpędzają setki tysięcy katolickich rodzin polskich, a Wasze uszy pozostają na to głuche, Wasze usta nieme?

Więc to jest dziś zasada *für Wahrheit, Freiheit und Recht?*

Dlaczegóż głos ostrego protestu nie zadźwięczy na Waszych wiecach przeciwko uciskowi sumienia, wywieranemu u nas? Wszak gdy Wam chodzi o mandaty w Nadrenii, na Górnym Śląsku, w Westfalii, w Prusach i gdziekolwiek bądź, tam zapewniacie, że „przecież my wspólnie jesteśmy katolikami i łączy nas ta wspólność ideałów katolickich, która każe nam podawać sobie bratnie dłonie ponad przepaścią wytworzoną stosunkami narodowymi.“

Naszym zasadom i naszym ideałom pozostaliśmy my, Polacy, wierni; w historyi naszej tyle już przebyliśmy rozczarowań, że uczymy się powoli nie liczyć na niczyją pomoc — i na Waszą pomoc dziś liczyć przestajemy w tej nowej ciężkiej walce, która się już otwiera przed nami. Wy, skąpani w blaskach królewskich i cesarskich faworów, Wy, najsilniejsze stronnictwo w państwie niemieckiem — możecie się nasycać tryumfami w polityce, my biedni, odarci ze wszystkiego, idziemy małą garstką na nowy bój — wkraczamy w erę nowego kulturkampfu.

Znikąd się pomocy nie spodziewamy, a w walce chcemy czerpać siłę.

Pójdziemy sami — Wam niech Bóg przebaczy, że na wiecach Waszych pozostaliście niemi i głusi wobec upośledzeń naszych na polu religijnem. *My pójdziemy sami — i zwyciężymy sami*, a Wy, zamiast dawnych haseł wolności, prawdy i prawa szepczcież sobie dalej zbladłymi z trwogi ustami litanię do wszystkich świętych, aby Wam nasze mandaty górnośląskie w całości zachować raczyli...

Wasza modlitwa przyjdzie za późno — a my pójdziemy sami!

Vester.



Narodowe rozbudzenie
Górnego Ślązka.

Aby dać dowód, że nie rządzimy się wcale wyłącznością zapatrywań, lecz chętnie dopuszczamy do głosu ludzi odmiennych pojęć niż nasze, chętnie umieszczamy artykulik niniejszy, który jest wyrazem obaw i zastrzeżeń, a pochodzi — jest to znamienne — z kół nielicznej inteligencyi górnośląskiej. Red. —

„Rozbudzenie narodowe na Górnym Śląsku nie jest jeszcze — niestety — tak silne, jakieby być mogło i powinno, a najlepszym dowodem tego liczba prenumeratorów polskich pism na G. Śląsku. Na milionową ludność górnośląską „Katolik“ i „Dziennik Śląski“ liczą około 20 tysięcy prenumeratorów, „Nowiny Raciborskie“ mają około tysiąc, „Gaz. Opolska“ mniej więcej 2 tysiące stałych czytelników. Innych pism „Katolika“ („Praca“, „Rólnik“, „Światło“ itd.) oraz pism z W. Ks. Poznańskiego lub Prus Zach. do nas przychodzących, do tych liczb dołączać nie można, gdyż głównie i niemal wyłącznie czytelnicy „Katolika“ tworzą zastęp powyżej wymienionych pism. Z całą też pewnością twierdzić mogę, że drobne wykluczywszy wyjątki, żadne pismo poznańskie lub zachodnio-pruskie nie zyskało na G. Śląsku czytelników własną siłą, lecz za pomocą istniejących tu i rozwijających się naszych pism polskich. Powyższe dość wiarogodne liczby powinny nas więc najlepiej pouczyć, jak daleko jeszcze na Górnym Śląsku do ogólnego odrodzenia narodowego, o którem mianowicie pisma zagraniczne tak często i tak przesadnie się rozpisują.

Atoli wielką byłoby niesłusznością, gdybyśmy zawsze jeszcze — bardzo niepomyślnie dla sprawy naszej stosunki nasze kłaść mieli na karb rzekomo lękliwego lub opieszałego kierownictwa ze strony „Katolika“. Przeciwnie powiedzieć można, że jedynie rozważna, spokojna i powolna, lecz niemniej mrówcza praca kierowników „Katolika“ stworzyła to, co dziś jest i zawsze jeszcze tworzy to, czego wszyscy pragniemy, ale dziś dostrzedz nie możemy. „Katolik wyrobił sobie — a zarazem i innym — pole działania, „Katolik“ zdobył sobie w społeczeństwie górnośląskiem poważne i szerokie koła czytelników, którzy mniej lub więcej zgadzają się na politykę jego, znając wszelkie jego pobudki, okoliczności i stosunki, którzy wartość sumiennej pracy w zupełności oceniają. Ci zaś członkowie społeczeństwa tutejszego, którzy przez „Katolika“ na stałych czytelników pism polskich się wyrobili, ale którym treść „Katolika“ dziś rzekomo za sucha, za jałowa, ci porzucili pewnie „Katolika“ i utrzymują poznańską „Pracę“, lub inną jaką gazetę polską, która w innych pozostaje warunkach i inny mając zakres działania, energiczniej i dobitniej nacisk kłaść może na naszą odrębność narodową.

Tak więc jeden pomaga drugiemu: pismom polskim z dalszych stron „Katolik“ nowe na G. Śląsku otwiera tory, sam zaś spokojną swą i łagodną taktyką polityczną coraz nowe zdobywa sobie obszary; sobie nowych jedna zwolenników, nam zaś sojuszników, — Co do sprawy kandydatów narodowych na G. Śląsku zaznaczyć mi wypada, że o ile stosunki dobrze oceniam, „Katolik“ już oddawna usilnie stara się o jak najlepsze rozwiązanie tej kwestyi. „Katolik“ wraz z „Now. Racib,“ i „Gazetą Opolską“ przeprowadził wybór posłów: Szmuli, Faltyna, Moritza, Radwańskiego i Strzody, mężów, z tutejszego ludu pochodzących, których jakkolwiekbądź zaliczać należy do tych nielicznych osobników, którzy doszedłszy do stanowiska i znaczenia, wiernie i szczerze trwają przy ludzie górnoślązkim.

A przecież ci posłowie wybrani zostali przeciw woli niemieckich centrowców, jedynie głosami ludu polskiego, są więc w całem znaczeniu tego słowa: posłami ludu polsko-górnoślązkiego. Wprawdzie są oni członkami stronnictwa centrowego, które w ostatnich latach mimo różnych przyrzeczeń dla nas Polaków nic nie uczyniło, ale nie zajmując się dziś tą sprawą bliżej, stawiam tylko pytanie: czy w razie zupełnego zerwania z centrum możliwy zysk zrównoważy nieuniknione straty?“

Korespondent nasz tem pytaniem kończy swoje uwagi, sądząc widocznie, że odpowiedź na nie nie może wypaść inaczej, jak tylko w myśl jego rozumowań. Pozwalamy sobie wątpić o tem.

Przypuśćmy bowiem, że we wszystkich okręgach, gdzie przeprowadzenie Polaka zamiast centrowca jest możliwem, wybraliśmy już Polaka, to i cóż za wynik z tego? — Oto pomimo to wszystko mamy szereg innych okręgów, w których Polak wprawdzie wybrany być nie może, ale w których głosy polskie decydują o zwycięztwie centrowca. W tych warunkach centrum, które nas bardziej potrzebuje niż my jego, grubo się zastanowi, czy ma stanąć frontem przeciw Polakom, tembardziej że stan posiadania Górnego Ślązka przez centrum nie jest zupełnie bezwzględnie prawny, skoro przed laty tamtejsi Polacy wybierali Polaków, należących do Koła pol-

skiego. My o tę przyjaźń z centrowcami najbardziej jesteśmy spokojni. Uważamy to za pewnik, iż im silniejszą i liczebniejszą jest jaka frakcya parlamentarna, tem łatwiej znajduje przyjaciół na arenie parlamentarnej, gotowych ją popierać wzamian za jej poparcie.

A wreszcie tu nie chodzi o liczbę mandatów: tu chodzi o same wybory, o akcyę wyborczą, zbudowanie solidarnego postępowania w imię narodowości, zamiast dzisiajszego — w imię religijnych haseł. „Przestańmy się wreszcie kryć w tałdach sukienki duchownej“ — pisał niedawno po tysiąckroć słusznie organ poznańskich kół duchownych.

A gdyby ktoś jeszcze wątpił, że właśnie w czasie przedwyborczym, przez agitacyę, która wskutek konstytucyi cieszy się nieograniczoną wolnością, najlepiej się narodowo rozbudzają masy ludu, to niechaj zapyta o świadectwo tych dzielnych wiarusów z Duisburg-Mühlheim, co w tym roku głosowali na swego i tem rozbudzili setki germanizujących się braci. *Ordon.*



Z życia osadników polskich w Ameryce.

(Oryginalna korespondencya „Pracy.“)

Po wylądowaniu w Rio de Janeiro, wstąpiliśmy do tak zwanej „Gospody dla wychodźców.“ Tam otrzymał każdy emigrant bez różnicy wieku i płci, pomieszczenie w wielkim baraku umyślnie na ten cel zbudowanym. Każdy z emigrantów dostał łóżko, a właściwie kojec, zbity z czterech długich sosnowych desek, i materac z sitowia. Pożywienie było następujące: na śniadanie kawa i bułka chleba pszennego przaśnego, ważąca mniej więcej 200 gramów. Na obiad 3 łyżki, czyli jedną warząchew zupy z włoszczyzną, drugą czarnej fasoli, a trzecią mięsa gotowanego krajanego w kosteczki. Na kolacyę — filiżanka herbaty z bułką. Dzieci otrzymywały połowę tego. Lekarz, apteka, akuszerka i szpital były w pogotowiu Do posługi było w gospodzie kilku murzynów. Gospoda znajdowała się na „Wyspie kwiatów“, w porcie Rio de Janeiro, oddalonej o jakie 1½ do 2 kilometrów od stolicy państwa brazylijskiego. Była to właściwie stacya tylko dla wypoczynku po morskiej podróży, gdzie miano przebywać, podług obwieszczeń porozsiewanych w Europie, tylko osiem dni, faktycznie zaś niektórzy daleko dłużej bawili. Ponieważ zostawiono każdemu do woli wybór miejscowości, gdzie się chce osiedlić, więc też dużo ludzi osiedliło się na „Wyspie róż.“ Mianowicie dużo młodych osób obojga płci poszukało sobie tam zajęcia. Ludzi obarczonych rodziną mało się osiedliło. Wielka śmiertelność i choroby między wychodźcami (zwłaszcza między dziećmi) spowodowały rząd brazylijski, że gospodę przeniesiono do innej odległej a górzystej miejscowości. Niektórzy z przybyszów, zakosztowawszy wygodnego życia w gospodzie, nie myśleli się wynosić, bo przyzwyczaili się darmo jeść, jako tako wyspać, a przytem nic nie robić. Urzędnicy byli o tyle łaskawi, iż nie brali natrętów za kark i nie wyrzucali, bo i im z tem urzędowaniem dobrze było.

Ta Wyspa róż była główną stacyą dla wychodźców, tam też urzędnicy wymieniali każdemu następujące stany brazylijskie: *Rio de Janeiro, Sao Paulo, Espirito Santo, Minas Geraes, Paraná, Santa Catharina i Rio Grande do Sul,* jako skłonne do przyjmowania emigrantów. Najwięcej rządowych gruntów dla obsadzenia kolonistów posiadały trzy pierwsze.

Zachodziły pewne trudności co do wyboru miejsca. Nie mając pojęcia o położeniu i stosunkach tej lub owej prowincyi, każdy wybierał jak ślepy traf zrządził. Większość wybierała Paranę, a to z następującego powodu: Gdy na początku podróży okręt zawinął do Antwerpii, dwaj księża polscy, po odprawieniu nabożeństwa dla wychodźców, rozdawali bilety z napisem: Paraná-Brasil.

Do stanu Paraná więc główny prąd się skierował. Z Wyspy kwiatów wytransportowano wychodźców cuchnącym okrętem krajowym, do portowego miasta Paranaguá, które jest główną przystanią w stanie Paraná. Z portu jedzie się 6 godzin koleją żelazną do Curityby, która jest stolicą stanu. W Curitybie wychodźcy przebywają te same wakacye co i na Wyspie kwiatów, z tą tylko różnicą, że ten klimat znacznie zdrowszy. Można też tam spotkać dużo Polaków osiedlonych oddawna na koloniach dokoła Curityby.

Na tej stacyi dla emigrantów obchodzono się z Polakami jak najlepiej, pomimo iż niejeden przebywał cały rok w barakach dla emigrantów, dopuszczając się rozmaitych nadużyć. Niejeden udawał chorego, aby tylko dostać rosołu kurzego lub jakie kurze skrzydełko, albo kubek mleka.

Inni znowu skarżyli się, iż otrzymują za mało pożywienia. Drudzy widocznie mieli go zanadto, bo wysypywali bułki koszami gdzie w rowy, albo w rzeki, a byli wreszcie i tacy, co nie kontentując się żywnością otrzymaną, robili wycieczki do cudzych ogrodów, podbierali ziemniaki i kradli rozmaite warzywa, z których potem przyrządzali polskie potrawy. Z Curityby transportowano wychodźców w głąb kraju na miejsce przeznaczenia do przyszłych kolonii, z których najbliższe odległe są o 20 mil od Curityby.

II. Wśród dziewiczych lasów.

Kto sobie życzył objąć grunt w posiadanie, stawał do losowania przeznaczonych. Owe grunta składają kolonie w ten sposób: jest przeciętna linia prosta w las, ale to w tak gęsty, że po większej części, jak by kogo zrzucono z góry, to by na ziemię nie doleciał, a jeżeliby doleciał, a nie miał by wielkiego noża, bez którego tu się nikt nie może obyć, nie wyszedł by na świat boży, takie zarośla, sznury, liny, kłody powywracane. Po obu stronach tej linii ciągną się szakry, każdy ma 250 metrów frontu, i tysiąc metrów długości. W tem to miejscu rozpoczyna się walka wychodźców z odwiecznymi olbrzymami brazylijskich lasów. W miejscowości, przeznaczonej na miasto, znajdują się baraki dla wychodźców, urząd kolonizacyjny, doktór, apteka i jeden kramik. Każdy kolonista otrzymuje narzędzia najpotrzebniejsze do pracy, oraz książeczkę, na którą może kupić co mu potrzeba do żywności lub ubrania, towarów łokciowych i t. p. aż do najdrobniejszych przedmiotów. Każdy kolonista był obowiązany pracować w miesiącu 15 dni na swoim szakrze, a 15 dni na drodze rządowej. Za pracę na drodze wynadgradza rząd od jednego milrejsa do dwóch i pół milrejsów stosownie do osoby pracującej. Milreis (czyli tysiąc reis) podług ówczesnego kursu wart był dwie korony 40 hal.

Przy końcu miesiąca, robili urzędnicy obrachunek z książki wybranych towarów i z zarobionych pieniędzy; jeżeli zarobek przewyższał wartość wybranych towarów wypłacano nadwyżkę. Zobaczmy teraz, jaką pracę mieli koloniści na drogach rządowych. Godziny pracy oznaczone były od ósmej rano do czwartej po południu. Trudno jednak było do tego się zastosować, bo zegarów nie było, a podług słońca także nikt nie mógł się zoryentować, ponieważ niejeden mieszkał w takiem miejscu, gdzie drzewa nie dopuszczały promieni słonecznych. Więc też niejeden około 10-ej dopiero zjawiał się na miejscu pracy. Gdy się wszyscy poschodzili, robota szła ochoczo, dopóki nie ścięto jakiego wielkiego drzewa, któreby mogło służyć za ławkę. Na

tem to drzewie zajmowała miejsce cała kompania i rozpoczynały się narady, opowiadano sobie wzajemne spostrzeżenia i doświadczenia.

Zazwyczaj stał na straży jaki wyrostek, któremu kazano dać znak, gdyby się dozorca zbliżał, co należało jednak do przypadku, ponieważ dozorca czasami przez cały tydzień się nie zjawił. Więc też nie dziw, iż pomimo, że robiono przy drogach na niektórych koloniach, przeszło dwa lata, nie zrobiono nawet tyle, coby można łatwo przez pół roku zrobić, a to z tej przyczyny, iż uradzono na tych posiedzeniach „drzewnych", aby ta robota się przeciągała w nieskończoność. Ale jak wszystko złe i dobre ma swój początek i koniec, tak się i tu sprawdziło.

Pomału zaczęło się wszystko urywać, roboty zaprzestano, obrachunki prawie z sześciu miesięcy zarzucono dlatego, iż z nich korzystali za nadto dozorcy, szefowie i sklepikarze. Trzeba się było całkowicie oprzeć na własnem gospodarstwie.

III. Gospodarstwo kolonistów.

Gospodarstwo rolnicze odbywa się wśród lasów brazylijskich w ten sposób: Ścina się bór w miesiącu wrześniu i tak ścięty leży mniejwięcej przez dwa miesiące. Zależy to zupełnie od gatunku ziemi. Na dobrej ziemi znajduje się dużo twardego drzewa, które potrzebuje więcej czasu do wysuszenia się. Po upływie tego czasu, pali się ścięty bór. (Jeżeli czas był dobry, spalą się tylko gałęzie i drzewa grubości nogi ludzkiej.) Następnie sadzi się pomiędzy pozostałem drzewem kukurydzę i czarną fasolę. Są to dwa główne artykuły spożywcze w Stanie Paraná. Rodzi się zaś dobrze wszystko, coby nie wsiał i nie wsadził. Kartofle, groch, fasolę można dwa razy do roku sadzić, kapustę głowiastą i rozmaite warzywa można cały rok uprawiać. Żyto, jęczmień, proso, gryka wszystko doskonale się udaje, tylko niestety, że Polacy zamało dbają o uprawę tych roślin, poczęści dlatego, że te rośliny potrzebują starannego przygotowania roli i nawozu. Jest to zresztą jasnem, że ziemia, którą się używa przez 10 lat, za jedyne narzędzie rolnicze mając zazwyczaj tylko motykę i fojs (narzędzie do ścinania krzaków i cieńszego drzewa) i to ziemia, która prawie nigdy nie odpoczywa, bo rodzi bez przestanku, jeżeli nie rośliny, ktore się hoduje, to rozmaite krzaki i chwasty — wymagać musi koniecznie starannej uprawy. Wielce rozpowszechniona jest uprawa tak zwanej *herva Mate,* czyli herbaty brazylijskiej, przy której może każdy zarobić dobrze. Jestto zarobek dobry i pewny, ale bardzo mozolny, no i trochę zawodny, ponieważ liście tej herbaty suszy się przy ognisku, a gdy się oczy znużonym pracownikom czasem trochę skleją, łatwo suchy liść chwyta iskrę: idzie więc z dymem pod niebiosa cały tydzień pracy. Przytem jest pewna niewygoda, bo trzeba się oddalić od domu o kilka albo o kilkanaście mil drogi, trzeba obładować się wielkim tobołem z żywnością, trzeba także i nocami dokładać, spać w lesie, czasem pod gołem niebem.

Ale przy tej robocie można zarobić od dwóch do siedmiu milreisów dziennie (podług dzisiejszego kursu milreis wynosi około 1 korony).

Przyjrzyjmy się bliżej kolonii. Aż wstyd doprawdy przyznać, że niektóre z tych kolonii już dziesięć lat istnieją, a pomimo, iż każdy kolonista ma tyle materyału budulcowego, ile dusza zapragnie, to jednak domy mieszkalne są takie, że jak deszcz pada, jest trudno o suchy kącik, a gdy wiatr silny dmucha na dworze, to już w domu nie można nic robić, bo szyby są prawie nieznane. Kuchnie są zazwyczaj budowane osobno od mieszkania, a ogniska na środku na sposób cygański.

Ten zły stan domostw jest wynikiem li tylko niedbalstwa, a nie braku środków, bo jest dużo takich, co mieszkają w lepiankach, pożyczają setkami jedni drugim, (ma się rozumieć, za procentem 2—3 milrejsów od sta miesięcznie). W gospodarstwie kolonistów używane są konie i muły jako siła pociągowa. Hodowla rogacizny i nierogacizny wybornie się udaje pod gołem niebem. Hodowla drobiu też rozwinięta. Hodują kaczki, gęsi, indyki, perlice, kury i jeszcze inne gatunki drobiu; najlepiej się hodują kury. Pszczoły tu się wyśmienicie zaprowadzają, dlatego, iż jeden rój wydaje do ośmiu rocznie. Sady składają się z kilku lub z kilkunastu drzew brzoskwinowych, które się wszędzie udają. Wino także doskonale się udaje, jednak rzadko gdzie istnieją winnice. Co zaś do samych kolonistów — są to przeważnie ludzie, pochodzący z Królestwa Polskiego. Z Prus Zachodnich, Księstwa Poznańskiego i Galicyi jest bardzo mało. Ludzie ci po większej części w kraju byli na służbie w folwarkach, mała ich liczba posiadała po kilka mórg własnej ziemi. Najmniej jest drobnych rzemieślników. Prawie wszystkich rzemieślników jedynie nędza i niedostatek wypędziły z rodzinnego kraju. Wyjątek stanowi kilkunastu, którzy jedynie po złoto przyjechali, na czem jednak bardzo źle wyszli, gdyż ono w koloniach stanu Paraná jest trudniejsze jak w Europie. Na ogół wziąwszy, warunki bytu są tu zupełnie znośne. Każdy kolonista ma kawał gruntu. Chałupę może postawić jaką mu się podoba; odzienie niewyszukane, — jeżeli nie wymagający, może poprzestać na jedynych spodniach, koszuli i kapeluszu słomianym; drzewa na opał każdemu wystarczy, dopóki będzie żył.

IV. Brak oświaty.

Potrzeba jednak jednej rzeczy — to jest oświaty. Brak oświaty boleśnie się daje we znaki, zwłaszcza na punkcie wychowania dzieci. Istnieją przecież kolonie, które — mając do pięciuset domostw, mogłyby utrzymać trzy szkoły, a nie mają ani jednej. A o czytaniu i pisaniu ani mowy niema. Brak oświaty też powoduje rozwój pieniactwa. Sąsiedzi najbliżsi w koloniach polskich, o byle drobnostkę kłócą się, skarżą się po sądach, i to przed takimi sędziami, względem których nikt nie może mieć szacunku. Księży potrzeba, ale księży z powołania. Stosunki kościelne dotychczasowe są bardzo smutne. Panuje powszechny zwyczaj, iż ksiądz osiedlony na parafii, otrzymuje pensyi rocznej od każdego kolonisty 10 milreisów, prócz tego każdy osobno za wszystko musi płacić, a to jak następuje: za chrzest 5 milreisów, za ślub od 10 do 50 milreisów, za mszę św. czytaną 5 milreisów, a śpiewaną 10 milreisów. Wielu księży ma ten zwyczaj, że jeżeli nie mają mszy opłaconej w dzień powszedni, to jej wcale nie odprawiają. Jest też dużo takich, że nawet w święta albo w niedzielę kazania nie miewają, mówiąc, iż to w Brazylii nie jest obowiązkiem księdza i że, jeśli kolonia chce słyszeć kazanie, to musi osobno za nie zapłacić. Jednem słowem dla oświaty nie wiele co się robi.

V. W Curitybie.

Curityba, stolica stanu Paraná, jest to miasto wcale pokaźne, liczące do 50-ciu tysięcy mieszkańców. Ludność zamieszkała w Curitybie składa się przeważnie z Brazylijczyków, Niemców, Polaków, Włochów i innych narodowości. Brazylijczycy — są to przeważnie ludzie zamożni, zazwyczaj urzędnicy lub wojskowi. Niemcy trzymają cały handel i przemysł w swem ręku, a Polacy prócz kilkudziesięciu karczmarzy, sklepikarzy i drobnych rzemieślników, zajmują się wyrobnictwem i pracą najgrubszą.

Mogło by tu się coprawda świetnie kilka wielkich sklepów, warsztatów polskich i t. p. utrzymać, ale nie inaczej, jak przy poparciu klienteli polskiej; niestety jest rzecz bardzo omylna, bo Polacy jak w Europie z żydami, tak w Ameryce z Niemcami i innemi narodowościami lubią mieć do czynienia, do Polaków zaś idą tylko wtenczas, gdy potrzebują kredytu. Wreszcie i sami kupcy Polacy są potrosze winni sobie, bo jeżeli rozpoczną jaki interes, a jeżeli im się do-

brze opłaca, zaniedbują się już i sami już nie dokładają swojej pracy, zdając się na wyręczycieli płatnych. W ten sposób już kilka przedsiębiorstw polskich w Curitybie upadło. U Niemców dzieje się wręcz przeciwnie, bo u nich starają się najpierw o oświatę; to też można w Curitybie między Niemcami spotkać ludzi młodych, z doskonałem wykształceniem, gdyż przeważna ich część pobierała nauki jeszcze w Europie. Jest tu jedna księgarnia polska i wychodzą dwie gazety polskie, „Gazeta Polska w Brazylii“ i „Prawda“.

Stosunki w Paranie obecnie bardzo się pogorszyły pod każdym względem, wszystko podupadło, ogromna różnica pomiędzy stanem obecnym a z przed pięciu laty wstecz. Wtenczas wszystko kwitło, dzisiaj już okwitło i znikło.

Handel sparaliżowany, ponieważ opodatkowano wszystko w trójnasób; ponakładano banderole podatkowe na wszystko: na lekarstwo, drogeryjne materyały, napoje, zapałki, obuwie, kapelusze i nawet na towary łokciowe, o czem przed kilku laty nawet nikomu się nie śniło. Jedyny produkt wywozowy tutejszy, którym jest herbata Brazylijska, stracił o połowę na wartości, więc nie dziw, że wszystko stanęło.

Jest tu polska księgarnia w Curitybie i to mała, a od nas do Curityby jest blizko 50 mil drogi, a komunikacya taka, że list ztamtąd potrzebuje niekiedy miesiąc czasu, nim nadejdzie do nas, przytem książki tak są drogie, że n. p. powieść Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“ kosztuje 30—40 milreisów, jakibądź obrazek historyczny do 5 milreisów i to nie można zawsze dostać. Tu niech się Wam szanowni rodacy nie zdaje, że jest tak, jak w Europie, gdzie wszędzie i wszystkiego można za bezcen nabyć. Ostatecznie wypada mi się zwrócić do słów już raz wspomnianych, jako to, że rodzą się u nas rozmaite warzywa i owoce, lecz na nieszczęście, nie można w żaden sposób nasienia dostać, więc sprawadzamy je z daleka i musimy drogo płacić, a po większej części nic niewarte.

Czyby szanowni rodacy, a zwłaszcza panowie ogrodowi i panie gospodynie, którzy posiadają podobnych rzeczy, jako to: nasiona rozmaitych warzyw, pestki z owoców itp. w wielkiej ilości, nie byli o tyle łaskawi, by ich nam udzielić po trochu, co możnaby przez redakcyę „Pracy“ uskutecznić, za co wdzięczni będziemy bardzo, a da Bóg, będziemy mogli z czasem także coś w zamian wysłać.

M.
wierny czytelnik „Pracy.“

Przypisek red. W uzupełnieniu powyższej korespondencyi dodajemy, iż od dłuższego już czasu rząd stanu Paranà w Brazylii zaprzestał wydzielania gruntów nowo przybyłym z Europy wychodźcom. Natomiast utworzyło się we Lwowie Polskie Towarzystwo Kolonizacyjne, które w celu skoncentrowania emigracyi polskiej w Paranie rozpoczęło rokowania z rządem parańskim co do zakupna ziemi pod nowo tworzyć się mające kolonie polskie; rokowania te nie osiągnęły jednakże dotąd żadnego pomyślnego rezultatu, albowiem wspomniane towarzystwo nie rozporządza na razie dostatecznym kapitałem. — Obecnie wychodzi w Curitybie tylko jedna gazeta polska, mianowicie „Gazeta polska w Brazylii“, pod redakcyą p. Bieleckiego z Warszawy. Tygodnik ilustrowany „Prawda“ zaprzestał wychodzić od kilku miesięcy.



Z TYGODNIA.

W prasie niemieckiej sroży się zażarta walka o mowy Walderseego. Poszło głównie o to, że „Leipziger Neuste Nachrichten“ oświadczyły, że telegraficzne biuro Wolfa niedokładnie podało mowy feldmarszałka, a mianowicie, iż owego zdania, które w Niemczech, a jeszcze bardziej zagranicą, tak złe sprawiło wrażenie, zdania: „Inne imiona zbladły, imię niemieckie stanęło wysoko,“ hr. Waldersee nigdy nie powiedział. Sprawozdawca musi być pozbawiony słuchu, albo inteligencyi. Żadna gazeta hanowerska tych słów nie podała; żaden inny człowiek nie słyszał ich. Na to odpowiada przedstawiciel biura Wolfa, że podczas stenografowania swego sprawozdania znajdował się tak blizko hr. Walderseego, że o przesłyszeniu się mowy tu być nie może. Odnosi się to mianowicie do owego inkryminowanego ustępu, który on bardzo dokładnie przesłał do Berlina, i którego autentyczność poręczyć może. Przy kim prawda, tylko jeden hr. Waldersee mógłby rozstrzygnąć.

W rozmowie, czyli w tak zw. interviewie, jaki miał z hr. Walderseem korespondent dziennika „Echo de Paris“ i w którym hrabia wyrażał się nader pochlebnie o wojsku francuskim, o pośle Pichon, o generale Voyron i pułkowniku Marchand, wspomniał w końcu były wódz naczelny w Chinach o pogłosce, jakoby on ubiegał się o stanowisko kanclerskie, oświadczył, że to są plotki rozsiewane przez jego przeciwników i rzekł: „Jako feldmarszałek pruski piastuję najwyższe w państwie dostojeństwo żołnierskie, a innej ambicyi nie znam.“ — Skromność jest zaletą nietylko panny i młodzieńca, ale podobno i feldmarszałka pruskiego; znający jednak bliżej hr Walderseego utrzymują, że tym razem posunął się w skromności — zadaleko.

Wobec ciągle ponawiających się pogłosek, jakoby w kierujących sferach niemieckich noszono się z myślą utworzenia niemieckiej armii kolonialnej, „Schlesische Zeitung“ występuje z zaprzeczeniem w artykule „Keine Colonial Armee,“ natchnionym widocznie ze strony miarodawczej. Sfery urzędowe obecnie zajęte są więcej, niżby się zdawało, położeniem finansowem, znajdującem się na punkcie zwrotnym. Pora zatem mniej niż kiedykolwiek jest stosowna, żeby zajmować się planami, połączonemi z niedającemi się obliczyć ciężarami. Pogłoski o zamiarze utworzenia armii kolonialnej powstały prawdopodobnie ztąd, że tak jak się to zwykle dzieje po każdej kampanii, i teraz ustanowiona została komisya, złożona z oficerów, której zadaniem będzie zestawić doświadczenia, poczynione w ciągu wyprawy chińskiej, i w danym razie zaproponował najwyższemu wodzowi wojsk pewne ulepszenia w stanie armii.

O położeniu Anglików w kolonii Przylądkowej podaje dość poważną relacyę „Berliner Local-Anzeiger.“ Jeden z jego przyjaciół w Haadze zapytał właśnie o to dra Hendrika Milnera, reprezentanta wolnego państwa Orania. — „Szczęśliwie pan trafiłeś — odrzekł zapytany — gdyż właśnie od pewnego, godnego zaufania człowieka z Afryki południowej, otrzymałem raport, który przewyższa nawet moje oczekiwania. Donosi mi mianowicie, że 11—12,000 kolonistów przylądkowych chwyciło za broń. Następnie pisze: położenie tutejsze jest krytyczne; Anglicy tracą głowę. Wstrzymują wszelkie wiadomości, żeby nie doszły do Kapsztadu. Tam słyszy się same kłamstwa. Cała angielska polityka wkrótce tutaj w łeb weźmie, i Anglia zupełnie się wyczerpie.“ Jest w tem sprawozdaniu zapewne dużo przesady, mianowicie tam, gdzie jest mowa o zupełnem wyczerpaniu się Anglii; ale w każdym razie, jeśli naprawdę Afrykandrzy przylądkowi w takiej masie powstali, położenie Anglii na seryo może być krytyczne.

Cała prasa stałego lądu piętnuje znaną odezwę Kitchenera z dnia 7 b. m, jako dzieło nieludzkie. Poczucie sprawiedliwości nakazuje jednak od razu zaznaczyć, że Kitchener nie jest autorem osławionego manifestu. Fabrykowali go w Londynie Chamberlain na spółkę z Milnerem i przesłali go Kitchenerowi z nakazem jego ogłoszenia.

Z powodu tego manifestu pisze kapitan Wolfgang Bell w berlińskiem piśmie „Milit. Wochenblatt“, że według przepisów międzynarodowych stroną wojującą są nawet ochotnicy, jeżeli mają oznaki

zewnętrzne, które widać zdaleka, jeśli noszą broń jawnie i zostają pod rozkazami ludzi, do tego przez odnośny rząd upoważnionych, i biorących odpowiedzialność za swoich podkomendnych. Za stronę wojującą należy uważać nawet powstańców, jeżeli w chwili najazdu nieprzyjaciela, cały naród chwyta za broń, aby zasłonić ojczyznę przed najeźdźcami. „Boerów tedy w każdym razie należy uważać za stronę wojującą.“

Kapitan Bell zaznacza zarazem, że posługiwanie się na wojnie plemionami dzikiemi i półdzikiemi należy do środków przez dzisiejsze prawa zakazanych, niemniej jak pustoszenie i przywłaszczanie sobie własności nieprzyjacielskiej.

Tymczasem Anglicy zbroją dzikich Kafrów, Zullusów, Hottentotów, a w ostatnim czasie postanowili uzbroić i wymustrować 60,000 takich czarnych rycerzy, których utrzymanie kosztować ich będzie trzy razy taniej, aniżeli wojska regularnego; Kafr bowiem obywa się zupełnie bez munduru, a jada byle co i głód długo i wytrwale znosi.

Serya parlamentu angielskiego, po sześciomiesięcznych obradach została zamknięta w sobotę, jak zwykle mową tronową, pierwszą za panowania Edwarda VII-go. Mowa, z winy biegu wypadków, wypadła blado i szablonowo. Dobre stosunki ze wszystkiemi mocarstwami i szczęśliwe (?) załatwienie sprawy chińskiej; podbój (?) południowo-afrykańskich rzeczypospolitych; podróż księztwa Kornwalii i Yorku po zamorskich posiadłościach Anglii; wreszcie podziękowanie za uchwalone kredyty na armię i flotę — oto treść mowy banalnej.

Dzienniki oceniają teraz działalność ubiegłej sesyi, ale tylko jeden „Daily Telegraph“ jest z niej zupełnie zadowolony. Upatruje w niej ogromne wzmocnienie polityki rządowej i rozpływa się w pochwałach wszystkich w rumel ministrów. Już znacznie mniejsze zadowolenie okazuje „Standard,“ który w programie sesyi widzi duże luki niewypełnione i nie wie, czy Brodericka reforma armii okaże się skuteczną. „Daily News“ jeszcze nie wypowiedziały swego zdania. Wogóle przesilenie w stronnictwie liberalnem nie pozwoliło mu wywrzeć większego wpływu na przebieg sesyi, ale wyjaśniło nieco położenie i stosunki stronnictwa.

Sułtan Abdul Hamid w szczególnym jest humorze; rozdrażnienie nerwowe dochodzi snać u niego do niemożliwego stopnia, co objawia się we wszystkich niemal jego czynnościach, a świeżo zamanifestowało się w sprawie zatargu z Francyą. Układ stanął już, jak wiadomo; sułtan zgodził się nań, aż dopiero w ostatniej chwili odmówił mu swej sankcyi. Constans zażądał natychmiastowego wydania odnośnego irade, a w przeciwnym razie zagroził wyjazdem z Konstantynopola. Zdaje się jednak mimo tego, że sprawa ułoży się szczęśliwie; sułtan chyba nie narazi się na wojnę z Francyą.

Zatwierdzenie kanonika dr. Frinda na sufragana dyecezyi prazkiej napotyka wśród Czechów na gwałtowną opozycyę. „Narodni politika“ widzi w tem rozdarcie kraju pod względem kościelnym i mówi: Już za życia kardynała księcia Schwarzenberga pojawiło się ze strony Niemców żądanie zamianowania biskupa niemieckiego, które jednak kardynał Schwarzenberg odrzucił. Nominacya dr. Frinda, którą przeprowadzili namiestnik Coudenhove i duchowieństwo niemieckie, wrogie duchowieństwu czeskiemu, ma doniosłe znaczenie, a to tembardziej, że przy tej nominacyi i wpływ pruski padł na szalę, gdyż z jednej strony kardynał wrocławski ks. Kopp, a z drugiej reprezentant Prus w Wiedniu, popierali nominacyę. „Podajemy — pisze pomieniony dziennik — tę sprawę do wiadomości publicznej dlatego, żeby nietylko duchowieństwo czeskie, ale wszyscy czescy katolicy zaprotestowali przeciwko zamierzonemu rozdarciu królestwa czeskiego pod względem kościelnym. Wzywamy rząd, żeby się nad tem zastanowił, czy to leży w interesie królestwa czeskiego i całego państwa, żeby w Czechach jeszcze i na religijnem polu rozgorzała gwałtowna walka“.

Wyrok sądu wojskowego w Gąbinie, skazującego podoficera Martena na karę śmierci za rzekome zamordowanie rotmistrza Krosigka, zajmuje prasę niemiecką wszelkich odcieni, która jest jednego zdania, że ordynacya sądów wojskowych nie domaga. Wyroków nie wolno krytykować, lubo wyrok gąbiński wywołał wielkie rozczarowanie. Senat bowiem zawyrokował wyższą karę (śmierci) jak oskarżyciel sam o to wnosił. Mówią, że świadkowie-żołnierze nie mogli się wdrożyć w im przynależną rolę świadków, lecz widzieli w przesłuchujących ich sędziach-oficerach swych przełożonych. Jeden z sędziów był nawet członkiem korpusu oficerskiego tego samego regimentu. Znamiennym tego procesu wynikiem jest, że według wyroku mordercą jest rodowity Niemiec, lubo zamordowany rotmistrz Krosigk miał być tak dokuczliwym i okrutnym, że tylko dlatego nie otrzymał dymisyi, „ponieważ szwadron jego — jak donosi „Br. Gen. Anzg.“ — po większej części składał się z Polaków i Litwinów“. Marten założył rewizyę od wyroku, a są pewne dane, że w przyszłem postępowaniu sądowem wyrok, skazujący go na śmierć, zostanie zniesiony, albowiem chodzi pogłoska, jakoby natrafiono na ślad rzeczywistego mordercy, który służy obecnie w wojsku niemieckiem w Chinach.

K. O.



PRZEGLĄD PRASY.

„U króla chłopów.“ Tak zatytułował korespondent „Now. Wremia“ swój list o stosunkach poznańskich, w którym podaje odbytą rozmowę z byłym patronem Kółek włościańskich, panem Maksymilianem Jackowskim. Sędziwy i wielce poważany p. patron miał się zdeklarować przed petersburskim korespondentem jako rusofil i słowianofil.

Prasa polska nie dawała temu wiary, a myśmy się zupełnie powstrzymali od powtórzenia wywodów „Now. Wr.“ i ich komentowania, Pan M. Jackowski nigdyby nie powiedział: „Niech pan od nas pozdrowi wszystkich Rosyan, publicystom zaś rosyjskim niech pan powie, żeby pisali w duchu rosyjskim i słowiańskim.“

Ku ogólnemu uspokojeniu zamieścił „Dziennik Poznański“ następujące oświadczenie p. M. Jackowskiego, które z całą stanowczością unicestwia kłamliwą relacyę Moskala:

„Korespondent gazety rosyjskiej „Nowoje Wremia“, podpisujący się N. K. Sybiriak, podał w swem sprawozdaniu z rozmowy ze mną szczegóły grubo rozmijające się z prawdą.

Ubliżyłbym sobie, gdybym miał wchodzić z p. Sybiriakiem w polemiczną dyskusyę; oświadczam tylko, że nie wyszło z ust moich nic takiego, coby raniło uczucie narodowe, lub kaziło honor Polaka.

Jako z człowiekiem zupełnie obcym, nie wdawałem się w poufniejsze rozmowy polityczne, a przeważnie informowałem go o Kółkach włościańskich. Dałem mu nawet ostatni rocznik.

Zdaje się, że p. Sybiriak widzi już teraz sam, iż zawinił wobec mnie nadużyciem grzeczności, bo przyrzekł mi, że jak wyjdzie jego sprawozdanie, to mi je przyśle, — z czem nie pokwapił się dotąd.

M. Jackowski.“

Przez powyższe oświadczenie w „Dz. Pozn.“ upadają wszelkie insynuacye petersburskiego pisma, które wylewa łzy krokodylowe nad dolą Polaków w Poznańskiem, chociaż miałoby więcej powodu — jako pismo rosyjskie — ująć się za naszymi rodakami z zaboru rosyjskiego.

Lecz pismu „Now. Wr.“ nie chodzi bynajmniej o los Polaków, tylko o interesy rosyjskie. O tem powinni nasi lojaliści zawsze pamiętać.

Polacy w Nadrenii dali znowu świeżo dowód, że zdają sobie jasno sprawę z swego położenia jako Polacy wśród obcych żywiołów, odczuwają krzywdy ze strony centrowców i obelżywe wycieczki „Germanii.“

Oba wiece, które odbyły się się w zaprzeszłą niedzielę, jeden w Borbeck w okręgu Essen, a zwłaszcza drugi w Ueckendorfie malują dosadnio usposobienie polskich katolików, którzy muszą tam stawiać czoło germanizacyjnym prądom.

„Dziennik Kujawski“ tak referuje o wiecach:

„Z pomiędzy mówców przemawiających w Borbeck wyszczególniamy głos p. Wiktora Gimzickiego z Gerschede, który żalił się na wyzwiska, jakie w ostatnim czasie najrozmaitsze, szczególnie też katolicko-niemieckie gazety centrowe, na Polaków na obczyźnie miotają. My Polacy oddajemy każdemu, co się komu należy, ale też nie myślimy pozwolić na to, aby inni nami poniewierali, nie myślimy się wyrzec naszej narodowości dlatego, że to jest gorącem pragnieniem różnych hakatystów i świeckich i duchownych, i katolickich i masońskich. Możemy też zapewnić, że nazwa polskiego agitatora, jaką darzą tych Polaków, którzy dla dobra swych współbraci pracują, nie przynosi im ujmy, lecz raczej chlubę. Tak, my wszyscy powinniśmy być polskimi agitatorami, wszyscy bowiem powinniśmy agitować za tem, aby Polacy na obczyźnie zachowali nietylko wiarę, lecz także mowę ojców i poczucie polskie. My Polacy szanujemy każdego księdza, ale prosimy, aby oni byli nam rzeczywiście ojcami i opiekunami, musielibyśmy się jednak oprzeć temu stanowczo, gdyby który z kapłanów, którzy się nauczyli po polsku, chciał tej znajomości języka naszego nadużyć ku temu, aby nas odwieść od pielęgnowania naszej odrębności narodowej.

„Po kilku przemówieniach przyjęto rezolucye, uchwalone na ostatnim wiecu w Bochum, oraz protest przeciw twierdzeniu „Germanii“, jakoby Polacy na obczyźnie byli „katolikami mniej wartościowymi“, uważając je za obelgę rzuconą w twarz ludowi polskiemu.

„Bardzo ważnym był wiec w Ueckendorfie w sprawie opieki duchownej, na który zebrało się około siedemset osób, w czem mamy dowód jak żywotnią jest ta sprawa dla naszych wychodźców.

„Wysłali oni do ks. bisknpa dr. Wilhelma Schneidera w Paderbornie odnośną petycyą, na którą za pośrednictwem ks. prob. Roethera z Ueckendorfu odebrali następującą odpowiedź — odmowną.

„Najprzewielebniejszy ksiądz biskup paderbornski, dr. Wihelm Schneider, brzmi odpowiedź w tłomaczeniu, upoważnił mię rozporządzeniem z dnia 25 lipca pod nr. dz. 8374, jako odpowiedź na petycyę wysłaną do Jego biskupiej mości, oświadczyć Panu, że zaprowadzenie w niedziele i święta mszy z polskim śpiewem i polskiem kazaniem, jako też załatwianie chrztów, ślubów i pogrzebów w języku polskim wydaje się być niemożliwem.

Ks. Roether, prob.“

„Odczytawszy tę odpowiedź przewodniczący p. St. Kunz podniósł między innemi, że lubo Niemcy nazywają Polaków mniejwartościowymi katolikami, nie chcą słuchać o przysłaniu kapłanów władających językiem polskim. Dążą oni wyraźnie do zniemczenia Polaków i wielka ich część wstępuje coraz otwarciej w ślady hakatystów. Jak proboszcz ks. Kleinsorge zapatruje się na to, okazuje się z tego, że mówił do kilku Polaków, iż powinni iść na stancyą do Niemców, aby się po niemiecku nauczyć i kupić sobie niemiecką książkę do nabożeństwa i śpiewać pospołu z innymi w kościele po niemiecku.

„Ks. biskup z Paderbornu wyprawił na wiec w celu przeperswadowania Polakom ich pragnień ks. prob. Roethera, który zabrał głos z kolei i zaznaczywszy, że pomiędzy katolikami-Polakami a katolikami-Niemcami zaszło nieporozumienie, tak mówił po niemiecku:

„Niemam powodu bronić siebie, nie poczuwam się bowiem do żadnej winy wobec Polaków. Nie pozwolę sobie jednak robić przepisów, w jaki sposób mam urządzić nabożeństwo. Jestem przecież kapłanem, więc mam też zrozumienie tego, jak daleko sięga potrzeba. Otrzymałem z Paderbornu wezwanie, abym wypowiedział me zdanie o petycyi wysłanej przez Polaków z Ueckendorfu w sprawie opieki duchownej. Opisałem szczegółowo panujące tu stosunki. Nie wierzę jednak, aby Polacy mieli w Ueckendorfie tworzyć $^1/_3$ parafian, a w każdym razie nie są dla $^1/_3$ parafian potrzebne kazania polskie. Zaprowadzenie kazań i śpiewu polskiego przed południem w niedziele i święta nie jest potrzebne ze względu na zbawienie. Przecież i kapłan według wyraźnego przepisu Kościoła musi odmawiać brewiarz po łacinie, choćby mu łatwiej było modlić się także w języku swym ojczystym. Należy brać wzgląd na istniejące stosunki. Nie wierzę też, aby Polacy uzyskać mieli to, o co prosili władzę duchowną. Zdaje mi się także, że choćby ks. Kleinsorge co niedzielę wygłaszał kazanie polskie, Polaków by to nie zadowoliło, i niezawodnie żądaliby wtedy, aby koniecznie Polak im kazania przybył prawić.“

„Dalszy ciąg przemówienia X. prob. Roethera pomijamy, bo zaręczenie jego, iż nie uważa Polaków za mniejwartościowych katolików, że będąc parafianami w U. i płacąc podatki, mają równe prawa — wydają nam się czczymi frazesami wobec charakterystycznego jego oświadczenia, które uwydatniliśmy w druku.

„Ks. R. sądzi, że choćby ks. K. wygłaszał co niedzielę polskie kazania, nie zadowoliłoby to Polaków, którzy gotowi nawet wówczas prosić o ks. Polaka.“

To zdanie wyświetla stosunek proboszcza do parafian i stosunek Polaków do Niemców wyznania katolickiego aż nadto jasno..“

Nic dziwnego, że w takich warunkach nie panuje należyta harmonia pomiędzy plebanem a parafianami polskimi, którzy po tem wystąpieniu ks. R. i tej odpowiedzi ks. biskupa, tem wyraźniej muszą odczuwać potrzebę polskiego duszpasterza. Jeżeli ks. biskup paderbornski nie mógł uzasadnić swej odmownej odpowiedzi żadnym innym a lepszym argumentem, byłoby bodaj lepiej, aby nie był wcale delegował ks. Roethera na wiec ueckendorfski, gdyż ujawniło się przez to jedynie znowu głęboko tkwiące uprzedzenie do Polaków, które zdaje się, każdy Niemiec — chociaż ksiądz katolicki — wyssał z mlekiem matki. Nie można zaiste wątpić ani chwili, że w oczach Niemców-katolików jesteśmy niższą rasą i katolikami podrzędniejszego gatunku...

Jakoż żywioł polski w Nadrenii stoi oko w oko z katolickim germanizatorem i musi uzbroić się w zasób energii i hartu ducha, aby swego dopiąć i udowodnić nieprzyjaciołom, że Polacy nie stoją niżej jako naród i nie są mniejwartościowymi katolikami.

Z ich wystąpienia w czasie wyborów, z przemówień, jakie wygłoszono po oświadczeniu ks. Roethera, oraz z tego, że uchwalone protest, wynosimy otuchę, że sprostają zadaniu, pamiętni, że oczy wszystkich Polaków są na nich zwrócone.

O ważnem bardzo, zupełnie zapomnianem prawie, donoszą **„Kuryerowi Poznańskiemu“** w korespondencyi z Wrocławia:

„Istnieje prawo pruskie z r. 1839 a nie zniesione, na mocy którego

„każdy urzędujący duchowny obojgu konfesyi krajowych ma prawo do zakładania szkół nawet dla dzieci niżej lat 14 i to bez pozwolenia władz szkolnych.“

Wartoby, aby nasi prawnicy poinformowali nas za pośrednictwem naszej prasy bliżej o tem prawie.

Hakatyzm pocztowy nie ustaje, owszem szerzy się, jak świadczą świeżo wydane dwa nowe ukazy pocztowe.

O pierwszym donosi **„Wielkopolanin“**:

„Rozchodzi się wieść, że dyrektor poczty poznańskiej zagroził listowym karą dwóch mk., jeżeli poważą się zrozumieć polskie adresy na listach i wręczą je wprost adresatom, a nie oddadzą ich poprzednio do znanego już i sławnego na cały świat cywilizowany biura tłomaczeń. Jeżeli taki znający język polski przestępca popełni niesubordynacyą po trzykroć, natenczas ma być ze służby pocztowej wydalonym.“

W tak potworną wiadomość, gwałcącą wszelkie pojęcie o bezstronności poczty, trudno nam uwierzyć. Urząd pocztowy na całym świecie, we wszystkich krajach nawet pozbawionych cywilizacyi, jest instytucyą nie rządową, tylko prywatną, będącą pod kontrolą rządu, a istniejącą na to, aby każdemu mieszkańcowi sprawiać dogodności i być usłużnym za opłatą doń wnoszoną.

W tym ukazie pokrętnym jest system naprzód obmyślany.

O drugim ukazie pocztowym donoszą z Prus Zachodnich **„Gońcowi Wielkopolskiemu“**, co następuje:

„Na rozmaitych urzędach pocztowych przedłożono listonoszom pismo zarządu pocztowego, które tu w przekładzie polskim podajemy:

„Wedle doniesienia królewsko-pruskiego ministerstwa spraw wewnętrznych rozchodzą się pomiędzy polską publiczność karty korespondencyjne, zaopatrzone w zwrotki „polskiej pieśni“ — rozpoczynającej się od słów: „Jeszcze Polska nie zginęła“ — jak i „Pieśni legionów“ z odpowiedniemi rycinami, które wedle sądowego wyroku sprzeciwiają się § 130. ustawy karnej.

Zwraca się niniejszem uwagę na to, że wyżej wymienione karty są wykluczone z przesyłek pocztowych na mocy § 5 I. ordynacyi pocztowej.

W zastępstwie

(podp.) Krischke“.

„Listonosze musieli podpisać się na to, iż powyższe pismo powzięli do wiadomości. Znaczy to, że wiedząc o odnośnym przepisie, nie wolno im doręczać świadomie kart pocztowych, na których by były drukowane słowa: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ — inaczej może ich spotkać kara.“

Już od dawna dziwiono się, dlaczego karty z polskimi napisami i rycinami nie dochodzą adresatów. Znając powyższe pismo, można to sobie wytłomaczyć. Jest przecież dużo listonoszów nie umiejących po polsku, którzy widząc karty z polskimi napisami, snadno mogli sądzić, iż wszystko, co na nich wydrukowano, może być zakazaną pieśnią „legionów“, — i dlatego karty poszły do kosza.

Trudno bowiem wymagać od listonoszów, aby zdobyli się na znajomość prawa i krytyczną ocenę, co wolno, a co nie wolno, zwłaszcza, gdy po polsku nie umieją. Kontrola taka powoduje chaos i krzywdzi publiczność.

Kwestya także, czy poczta, nie doręczając przesyłek, nie jest obowiązaną do zwrotu takowych wysyłającym lub odszkodowania portorya. Możeby nasi prawnicy sprawę tę wyjaśnili.

M. B.



Z miejsc kąpielowych.

(Wilegiatura Lwowian -- Brzuchowice.)

Rozporządzając kilkotygodniową swobodą, wybrałem i w tym roku Galicyę, gdzie choć trochę pragnąłem odetchnąć powietrzem nam ojczystem, a zarazem korzystać z tamtejszych miejsc kąpielowych. W tym roku padł mój wybór na Brzuchowice, o których kilku słowami z czytelnikiem się podzielę.

Brzuchowice oddalone od Lwowa zaledwie o 9 kilometrów — połączone z nim koleją, również i doskonałą bitą drogą — położone są w istocie w przecudnej okolicy. Wystawmy bowiem sobie obszar lasów przeważnie iglicowych, z dość znacznemi wzgórzami (tak zwane wyżyny Tomaszowskie) i prześliczne i urozmaicone przechadzki — nie mówiąc o widokach, które nas nieraz przenoszą w uroczą Szwajcaryę. — Wśród powyższego otoczenia rozsiadły się Brzuchowice jak w wianku okolone lesistemi wzgórzami. Tak zwanych letników mieszka tu stale przeszło tysiąc osób w swych własnych lub wynajętych wilach — codziennie zaś pociągi spacerowe przywożą tłumy Lwowian, które nieraz w święta i niedziele dochodzą do 9 i 10-ciu tysięcy. A barwna to i wesoła ta publiczność lwowska — niemówiąc, że się nie słyszy innej mowy tylko naszą ojczystą.

Po przyjeździe moim zaraz się zgłosiłem do zakładu wodoleczniczego „Zofijówka,“ gdzie też cały czas przebyłem, korzystając z wszelkich kąpieli i zabiegów wodoleczniczych. Zakład wodoleczniczy powstał przed trzema laty staraniem pp. Naganowskich, którzy nieżałując kosztów i trudów, urządzili go na stopie zupełnie europejskiej. Kierownikiem zakładu jest lekarz, który poprzednio był zatrudniony w paru zagranicznych i krajowych zakładach. Jak zaś skuteczna jest kuracya, mieliśmy tu niejednokrotne przykłady wyleczenia z chorób bardzo groźnych. Administracya zakładu doskonała, o czem my kuracyusze najlepsze możemy dać świadectwo. Ceny zaś tak umiarkowane, że i ten szczegół nie psuje nam humorów, jak się to zwykle gdzieindziej praktykuje. Porządek w zakładzie iście holenderski — kuchnia rzec można wykwintna. Powozy na zawołanie, pisma krajowe i zagraniczne, fortepian — w miejscu poczta i telegraf wogóle wszystko tak urządzone, że z żalem się myślało, jak mało są znane i cenione Brzuchowice. Zakład prowadzi się cały rok.

Przy zakładzie wodoleczniczym są także i kąpiele w obszernym stawie. Staw ten jest dumą Lwowian, gdyż jak utrzymują, na kilka mil w promieniu, drugiego takiego nie ma. Same łazienki, piękne architekturą, urządzone są z całym komfortem. Ruch też tu wielki, tak że zwykle miejsc braknie i właściciele pp. Naganowscy mają zamiar je powiększyć. Całe zaś terytoryum, składające się z zakładu wodoleczniczego, z will, z kąpieli stawowych i restauracyi, rozłożyło się w bardzo rozległym parku i ogrodach.

Miejscowość ta jest punktem atrakcyjnym dla Lwowian. Oprócz zakładu „Zofijówka“ — Brzuchowice posiadają hotele, kawiarnie i restauracye. Muzyki grywają tu codziennie i czas można bardzo mile i wesoło przepędzić. Do przechadzek zaś i zabaw służy obszar nieograniczony lasu, w którym też swobody i rozkoszy można użyć do syta.

Miasto Lwów będące posiadaczem Brzuchowic stara się o wszelkie udogodnienia i przyjemności dla zamieszkałych. Obecnie jest projekt połączenia Brzuchowic koleją elektryczną — co gdy nastąpi, wpłynie na wzrost takowych nadzwyczajnie.

Historya Brzuchowic dawna. W archiwach miejskich jest wzmianka o Władysławie Jagielle, który przyjeżdżając z swym orszakiem do Lwowa, zapadł się z koniem po brzuch w potoku, zkąd jakoby i nazwa Brzuchowic powstała. Miejsc historycznych niebrak tu, gdzie bitwy z poganami i kozactwem tylokrotnie się staczały.

Lud wiejski sympatyczny w swych starodawnych strojach, trzymający się zwyczajów i obrządków przodków. Od niego też można niejedną z czasów ubiegłych i zachowaną dotąd sprawę ojczystą usłyszeć.

Dziś po powrocie z Brzuchowic — z Galicyi, każdemu śmiało je polecam — jedźcie tam, bo i dla ciała i dla ducha znajdziecie ukojenie.

Gostyniak.



Głosy od Przyjaciół.

Essen.

Szanowna Redakcyo!

Jako stały czytelnik „Pracy“ pozwalam sobie słów kilka skreślić i opisać stosunki tutejszych Polaków na obczyźnie. Ważną treść listu mojego, poświęcam brakowi księży polskich w dekanacie Essen, a głównie w samem mieście Essen. Miasto Essen liczy do dwóch tysięcy Polaków. Przed dwoma laty zawiązał się komitet miejscowy, który się starał u władzy arcybiskupiej w Kolonii o księdza władającego językiem polskim. Przyrzeczono z początku spełnić życzenie Polaków i powiedziano nam, iż posłanych jest dwóch wikaryuszów w Poznańskie, w celu uczenia się mowy polskiej, a po ukończeniu nauki, jeden z nich napewno przybędzie do Essen. Czekano długi czas i znów komitet poczynił odpowiednie kroki, domagając się obietnicy od władzy Arcybiskupiej. Wikaryusze ukończyli swoje nauki i powrócili do domu, z których jeden przeznaczony był do Katenberg, a drugi do Borbeck, a miasto Essen jako główny punkt zostało bez księdza. Z pewnością się boją księża niemieccy, ażeby Polacy w Essen Polski nie odbudowali jak dostaną polskiego księdza?...

Naturalnie, że i księża tutejsi Niemcy nie są przychylni dla Polaków. Uczyniono także prośby do dziekana Büsem w Seele, także i do miejscowego proboszcza przy kościele św. Gertrudy, domagając się polskiego księdza do Essen. Ten pierwszy wcale nic nie odpowiedział, tylko zwlekał Polaków długi czas, aby ich się pozbyć, a ten drugi to powiedział: „Przyszliście do Essen, to uczcie się niemieckiej mowy. Mężczyzna sobie poradzi w niemieckiej mowie, z niewiastą nie jest źle, a dzieci wasze to się po niemiecku nauczą na ulicy.“

Otóż to odpowiedź człowieka, który ma stać na straży powierzonych mu dusz i starać się o nie. Zkąd Polak, który słowa po niemiecku nie rozumie, może się po niemiecku wyspowiadać przed księdzem, który polskiej mowy nie umie? Szanowni czytelnicy rozważcie to sobie, iż od dnia 20-go maja roku zeszłego nie mieliśmy nabożeństwa polskiego w Essen, także i do spowiedzi nie mogli Polacy przystąpić. Jest to krzywda wołająca o pomstę do nieba. Po upływie 8 miesięcy odbyło się dnia 3-go lutego tego roku nabożeństwo dla Polaków, które odprawił zakonnik. W ostatnich tygodniach odbyły się dwa wiece, w których mówcy żalili się na takie niesprawiedliwe nas traktowanie.

Ogłaszam w łamach „Pracy“ tych słów kilka, aby światu ogłosić jaka dla nas sprawiedliwość panuje. Gdy chodzi o płacenie podatków, o zbieranie pieniędzy na kościoły, o wybieranie posła katolika do parlamentu, to Polacy są wszędzie równouprawnieni, ale księdza polskiego Polakom dać to Niemcy nie mogą.

Przy ostatnich wyborach do parlamentu, tysiące głosów polskich padło na p. Stetzla, posła do Centrum, który jest przedstawicielem na dekanat Essenski. Gazeta gnieźnieńska zamieściła artykuł, ażeby tylko Polacy głosowali na kandydata p. Stetzla, a dziś nasz Stetzel siedzi w parlamencie, a o Polakach ani nie wspomni, chociaż tysiące polskich głosów padły na niego. — Za dwa lata wybory, to Polacy inaczej będą w tej sprawie pracowali. Jużeśmy się nauczyli cenić centrowców. Teraz kończę mój list, pozdrawiam Redakcyę „Pracy“ -- wszystkich jej wiernych czytelników i życzę z całego serca, ażeby pismo nasze rozeszło się nie tylko w naszej Ojczyźnie, ale i tu na obczyźnie, za oceanem i w każdym kąciku, gdzie tylko mowa polska i czucie narodowe istnieje. —

Z szacunkiem

Wasz stary przyjaciel M. —





Cześć Ojcu świętemu!

Cześć Ojcu świętemu! Jak ziemia cała
Tak wszędy jedną nutą brzmią głosy —
Gdzie się chrześcijaństwa cnota rozsiała,
Gdzie Ewangelia prawdę podała
Tam modłów dźwięki płyną w niebiosy.

Cześć Ojcu świętemu! On łzy ociera,
On leczy rany — uczy żyć w Bogu...
Jego dłoń szczęścia drogę otwiera,
Przed Jego światłem nicość zamiera,
On, Pasterz Wielki na ziemskim progu!

Cześć Ojcu świętemu! Co wszystkie ludy
I wszystkie warstwy w bratnie koło splata,
Rozumie biednych mozoły i trudy,
Miłością leczy bluźnierstw—zwątpień brudy,
I nowem życiem chce zmienić błąd świata.

Cześć Ojcu świętemu! O! z polskiej ziemi
Dziękczynnych modłów wciąż płynie nuta...
Bo my umiemy być zawsze wdzięcznymi,
Za błysk litości, gdy zgnębionymi
Pomiata ludzkość z uczuć wyzuta.

Cześć Ojcu świętemu!... Od Odry — Warty
Od Gniezna, Gopła, Gdańska, Poznania...
Jak znak miłości wzniosły — otwarty,
Jak sztandar wiary hen rozpostarty
Płynie hołd uczuć, czci i poddania.

O! Wielki Boże!... dodaj Swej Mocy,
Niech życia przędza snuje się trwale...
Leon Trzynasty, wśród zwątpień nocy,
Niech słowem depce błędy przemocy,
A światem rządzi w szczęściu i chwale!

J. S.

18. VIII. 1901.

Jego Świętobliwość Leon XIII, Wielki Papież.

I.

Rzekł onego czasu Chrystus Pan do Piotra:

— *A ja tobie powiadam, iżeś ty jest opoka, na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go.*

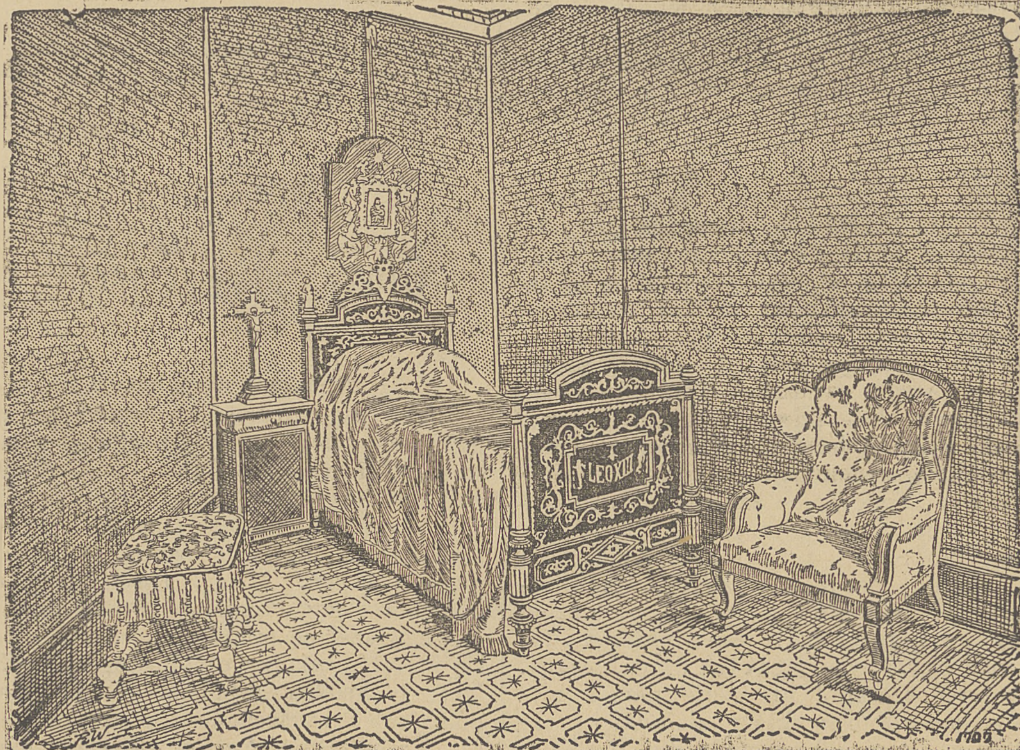
Każde słowo Boskie jest wyrokiem niecofnionym, który spełnić się musi, jednym zaś z mnóstwa niezliczonych dowodów na to jest wyżej przytoczona obietnica, dana przez Zbawiciela Apostołowi. Spełniła się ona najściślej. Nauka Chrystusa, pomimo najsroższych prześladowań, ogarnęła i zwyciężyła cały świat. Była głoszona w warunkach najnieprzyjaźniejszych: potężni mocarze, władcy Rzymu, przed którymi drżały wszystkie narody, usiłowali ją stłumić w samym zarodzie, przelewali potoki krwi jej wyznawców, dręczyli ich, skazywali na męczarnie straszliwe: a jednak próżnemi były ich usiłowania — wiara święta, Kościół przez Chrystusa zbudowany złamał ich, upokorzył, zatryumfował, a Namiestnik Zbawiciela, widoma Głowa Kościoła, w ich stolicy swoją stolicę założył.

Po zwycięzeniu pogaństwa, Kościół rzymsko-katolicki nie zaznał błogosławionego pokoju. Namiestnicy Chrystusa — wciąż musieli i muszą walczyć z szatanem, który przyjmując na siebie przeróżne postacie, usiłuje zachwiać i zrujnować Dzieło Boże. Ale wszak Zbawiciel rzekł: *bramy piekielne nie zwyciężą mego Kościoła* — nadaremnie rzucała się i rzuca na niego bezbożność. Święty nasz Kościół rzymsko-katolicki przetrwał wszystkie burze, zniósł wszystkie pognębienia, dziś stoi potężny, niewzruszony, w chwale i stać tak będzie do skończenia świata.

Nie zwyciężyły bramy piekielne Kościoła katolickiego, wiary świętej i nigdy zachwiać jej nie zdołają, albowiem potęga jej w Bogu spoczywa. Lecz walka z pokuszeniami szatańskiemi jest niezmiernie trudna, wymaga sił niezwykłych, nie sił ludzkich, jakich potrzebują narody do zwyciężania się wzajem, lecz siły wytrwania, siły mądrości, siły cnót i czystości serca, siły żarliwości i świętobliwości. Taką siłę posiadają nasi duszpasterze, nasi kapłani, a nadewszystko ich Głowa — Ojciec Święty, Papież, panujący w Rzymie. Jak w walkach narodów, chociaż pomiędzy rycerzami są bohaterowie, chwała zwycięztwa wodzowi przypada, tak samo w walce Kościoła z odczepieństwem, bezbożnością, ze złemi namiętnościami człowieka chwała zwycięztwa przypada wodzowi duchownemu całego chrześcijaństwa — Ojcu Świętemu. I słusznie. Rycerz może przyczynić się do tryumfu, ale wódz obmyśla, porządku pilnuje, kieruje wszystkiem, wszystko ma w swojej pieczy. Jeżeli tedy trudnemi i ciężkiemi są walki narodów, cóż dopiero mówić o trudach walki z szatanem; a jeżeli trudy tej walki są bez porównania cięższe, to i chwała zwycięzkiemu wodzowi należy się bez porówania większa. Jakoż świat cały



Arcybiskup Pecci, jako nuncyusz w Brukseli w roku 1843-cim.



Sypialnia Leona XIII.

z podziwem patrzy na Papieży, korzy się przed Nimi, hołdy Im składa, Ich imiona na złotych kartach do dziejów zapisuje. I jaśnieją te imiona, niby słońce, przykład z nich spływa na ludy, otacza je pamięć wdzięczna i uwielbienie.

„Praca“ pragnie się do chwały i uwielbienia tych Wodzów i Dobrodziejów świata katolikiego wedle sił i możności również przyczynić, gdyż uważa to za obowiązek. Dlatego zmierzając ku szerzeniu czci Bożej i dobra katolików, dajemy Czytelnikom illustracyje i opis wspaniałego, pełnego najszczytniejszych zasług żywota Jego Świętobliwości Leona XIII, szczęśliwie panującego ludom katolickim już rok dwudziesty czwarty, a którego świat uczcił przydomkiem *Wielkiego Papieża.*

* * *

Uroczystość imienin Jego Świętobliwości Leona XIII.

Dnia 18-go b. m. przybrał Watykan świąteczne szaty dla uczczenia imienin Ojca św. Około godziny 11-tej przez elektrycznem oświetlonej, Ojciec św. opuścił lektykę i, jakkolwiek zgarbiony, to jednak pewnym krokiem postąpił do tronu, usiadł i w dłuższej przemowie powitał zgromadzonych. W toku przemówienia zaznaczył, że chociaż przy wstąpieniu na tron przybrał jako papież imię Leon, to jednak ceni w pamięci imię Joachima i tegoż imienia patrona swego, któremu pod postacią pięknego kościoła wzniesiono w Rzymie wspaniały monument.

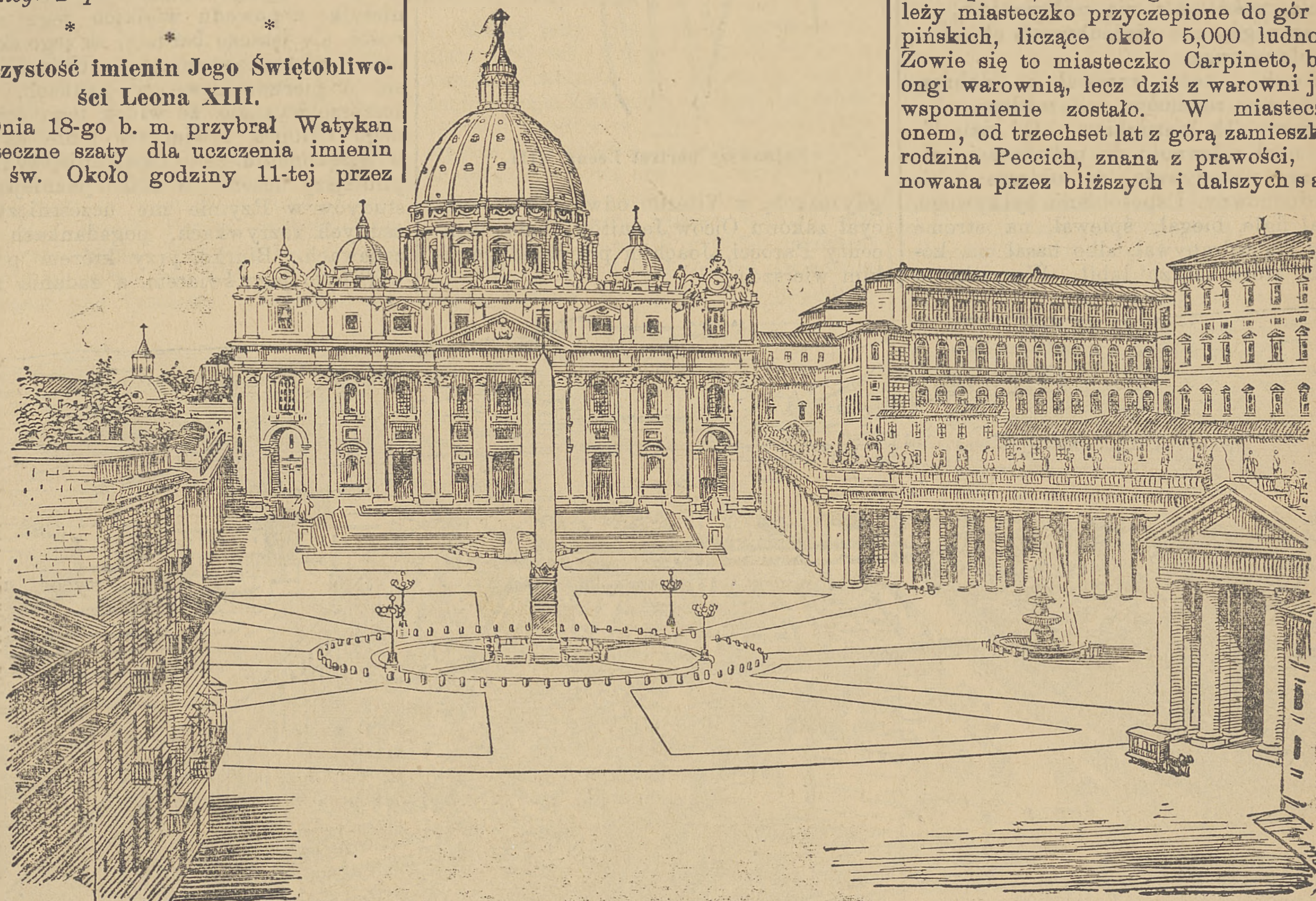
Po Ojcu św. zabrał głos kardynał-wikaryusz rzymski Respighi, ażeby imieniem rzymskiego ludu złożyć życzenia u stóp Jego Świętobliwości i poprzedzić kilku słowami widowisko świetlane katakomb rzymskich, przygotowane przez świeckie z najdawniejszej ery chrześcijaństwa i przygotował rozmaite obrazy do reprodukcyi świetlnej, jako to mszę św. w katakombach, pielgrzymów zwiedzających groby męczenników, kazanie w kościele podziemnym, obłóczyny i wyświęcenie dziewicy i t. d.

Po przedstawieniu obrazów świetlnych Ojciec św. udzielił swego błogosławieństwa zgromadzonym, którzy bez wyjątku byli zdania, że uroczystość była jedną z najpiękniejszych i najświetniejszych za czasów pontyfikatu Leona XIII.

* * *

Wielki Papież.

W górzystej okolicy krainy włoskiej, pomiędzy dwoma miastami, Rzymem a Neapolem, nad brzegiem rzeki Josso, leży miasteczko przyczepione do gór Lepińskich, liczące około 5,000 ludności. Zowie się to miasteczko Carpineto, było ongi warownią, lecz dziś z warowni jeno wspomnienie zostało. W miasteczku onem, od trzechset lat z górą zamieszkuje rodzina Peccich, znana z prawości, szanowana przez bliższych i dalszych sąsiadów.



Bazylika św. Piotra i pałac Watykański.

cały szereg komnat do wspaniałej klementyńskiej sali postępowali w uroczystym nastroju długim orszakiem nasamprzód arcybiskupi i biskupi, wśród których dygnitarze wschodniego rytuału szczególną na siebie zwracali uwagę, następnie szambelani papiescy, deputacya maltańskiego zakonu, korpus oficerów gwardyi papieskich, najwyżsi dygnitarze dworu i św. kolegium kardynalskie, poprzedzane przez gwardyą szlachecką, a nakoniec lektyka z Ojcem świętym.

Pośrodku sali konsystoryalnej wznosił się tron Jego Świętobliwości na niskiej estradzie, a po obu stronach ustawione były po jednym rzędzie czerwonym adamaszkiem obite fotele dla kardynałów, prałatów, szambelanów i innych dostojników.

Wniesiony do sali, rzęsistem światłem

komisyą archeologiczną na uroczystość imienin.

Po krótkiem objaśnieniu, danem przez kardynała Mocenniego, podkomorzy msgr. Bisleti udzielił głosu profesorowi Maruchiemu do rozpoczęcia widowiska. Niebawem światła elektryczne zagasły, a przed oczyma obecnych przesuwać się począł szereg obrazów przedstawiających najnowsze odkrycia i wykopaliska z katakomb rzymskich, sięgające pierwszych czasów chrześcijaństwa. Ojciec święty z szczególnem zamiłowaniem zajmujący się także archeologią i popierający studya starożytności, z żywem zainteresowaniem przypatrywał się obrazom i przysłuchiwał wyjaśnieniom profesora Maruchiego i również znakomitego archeologa prof. barona Kanzlera, który na podstawie ściślejszych studyów kazał wykonać kostyumy kapłanów jako też kostyumy

dów. W pierwszych dziesiątkach ubiegłego stulecia głową tej rodziny był Ludwik hrabia Pecci. Mieszkał on w starożytnym pałacu, wzniesionym przed pięciuset laty na stromym wyskoku skały, w pobliżu kościoła i plebanii. Z małżonki swojej, Anny z Prosperich, doczekał się Ludwik Pecci czterech synów: Karola, Jana, Józefa i Joachima, oraz dwóch córek: Anny Maryi i Katarzyny. Syn najmłodszy, Joachim Wincenty Rafael Ludwik, urodzony 2 marca 1810 r., jest obecnie słońcem świata katolickiego, zasiada na Stolicy Apolskiej pod imieniem Leona XIII.

Oboje małżonkowie Pecci odznaczyli się pięknemi zaletami umysłu i serca. Byli to ludzie bogobojni, prawi, miłosierni i światli. To też mieli wiele przyjaciół i życzliwych, a do rzędu pierwszych zaliczał się biskup Fosi, ojciec chrzestny

Joachima. Z cnoty miłosierdzia słynęła szczególnie Anna hrabina Pecci; w Carpineto nazywano ją *karmicielką biednych.* Joachim zawsze z głębokiem rozrzewnieniem wspominał o rodzicach swoich; będąc już kardynałem, tak opowiadał o miłosierdziu matki swojej:

— Jaśniała ona cnotą miłości bliźnich: szyła dla nich odzież, pamiętała o nich zawsze, starała się zaspokajać wszystkie ich potrzeby, a w czasach dotkliwej nędzy, codziennie piekła dla nich chleb i sama go rozdawała. Osobliwie miała staranie o chorych i wstydzących się żebrać; tym ostatnim tak roztropnie pomagała, żeby ich nie zawstydzić. Była duszą wszystkich dzieł dobroczynnych swego miasta. A chociaż z wielką gorliwością poświęcała się miłosierdziu, to jednak nigdy nie zaniedbywała obowiązków domowych.

Joachim tedy wzrastał na dobrym przykładzie rodziców, pod mądrym, bogobojnym ich kierunkiem. Od dzieciństwa miał skłonność do pobożności, ale nic nie wskazywało, że obierze sobie stan duchowny. Usposobienia był żywego, płatał figle, biegał, śpiewał, na strome skały się wdrapywał, albo hasał na koniach, które bardzo lubił. Wszystko to tylko nim władał biegle, lecz i wiersze w tym języku układał. Tak naprzykład,



Najnowszy portret Leona XIII.

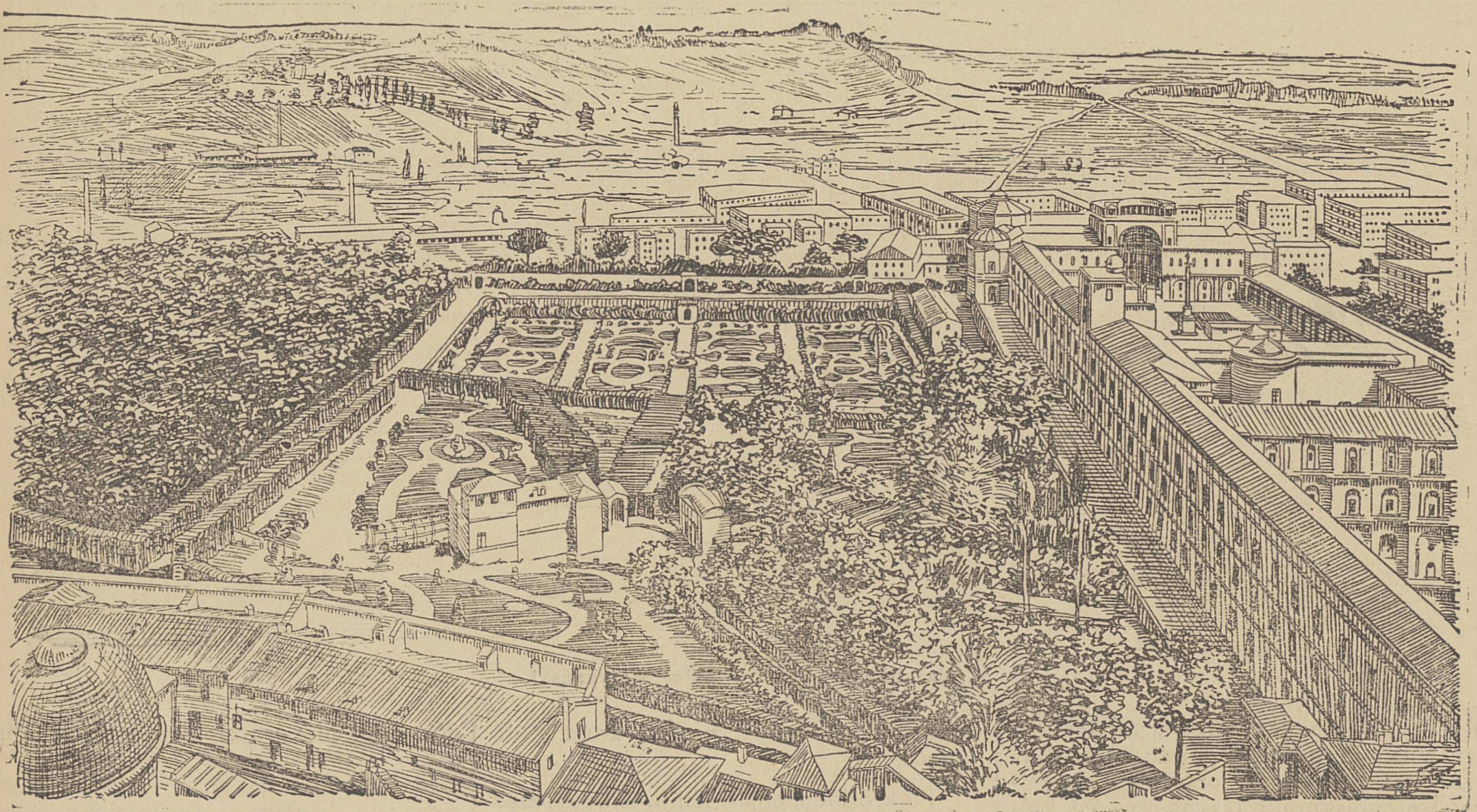
gdy szkołę w Viterbo odwiedził prowincyał zakonu Ojców Jezuitów, Ojciec Wincenty Parocci, Joachim przywitał go takim wierszem.

Jezuitów w Viterbo, jak i w szkołach rzymskich Joachim zdobywał nagrodę po nagrodzie. W r. 1830, kiedy, będąc uczniem akademii, odczytywał rozprawę teologiczną, religijną, przed zgromadzeniami kardynałów, jeden z tych dostojników Kościoła uściskał go i rzekł ze wzruszeniem:

— Joachimie! ciebie Bóg do wielkich przeznaczył rzeczy...

O zdolnościach Joachima, o jego pracowitości i pilności, wreszcie o zaletach jego charakteru mamy mnóstwo świadectw. Jeden z kolegów jego, z czasów pobytu u Ojców Jezuitów w Viterbo, tak o nim pisze:

„Pamiętam doskonale nasze szkolne czasy. Wszyscy uwielbialiśmy Joachima, nietylko z powodu wielkich jego zdolności, ale jeszcze bardziej za jego skłonność i nieskażone obyczaje. Ubiegaliśmy się o pierwszeństwo w naukach, lecz szczerze wyznaję, że widok tego poważnego chłopca utwierdzał mnie zawsze w przekonaniu, że to najzdolniejszy i najpilniejszy uczeń. W czasie późniejszych studyów w Rzymie nie uczestniczył w żadnych rozrywkach, pogadankach lub zabawach. Biurko, przy którem pracował, było jego światem, a zadania nau-



Ogrody Watykańskie.

kowe — rajem, najmilszą zabawą. W dwunastym czy trzynastym roku życia pisał z wielką łatwością po łacinie wierszem i prozą.“

pozwalało się domyślać, że Joachim, lat doszedłszy, obierze sobie jaki zawód świecki, tymczasem inaczej się stało. Brat Joachima, Jan, który w dzieciństwie ciągle się modlił, budował ołtarzyki, rzeźbił krzyże, dorósłszy — ożenił się, a Joachim poślubił stan kapłański. Niezbadane są drogi Opatrzności Bożej!

Kiedy Joachim dobiegł lat ośmiu, rodzice oddali go do szkół Ojców Jezuitów w Viterbo, gdzie przez lat 6 pozostawał. Uczył się wzorowo, zdolności okazywał nadzwyczajne, a także wielką pilność, więc i postępy w naukach czynił wielkie. Ze szczególnem upodobaniem zaznajamiał się z językiem łacińskim i wkrótce doszedł do tego, że nie-

Nauczyciele-zakonnicy szczerze pokochali Joachima za jego zdolności, pilność, pracowitość i wzorowe sprawowanie się. Gdy w roku 1821 w ciężką zapadł chorobę, otoczyli go najtroskliwszą opieką, dniem i nocą przy jego łożu czuwali. Umiejętność lekarzy i pieczołowitość zakonników uratowały Joachima; przyszedł do zdrowia, lecz nie odzyskał dawnej czerstwości i siły.

Po śmierci matki, udał się Joachim, pod opieką stryja, do Rzymu, do tamtejszych szkół, które zaszczytnie ukończył w r. 1831. Akademia szlachecka przyznała mu bakalaureat obojga praw, tj. odznaczenie za znajomość prawa. Nie było ono pierwsze. Zarówno u Ojców

Wakacye spędzał Joachim w rodzinnem Carpineto, tam szukał wypoczynku po pracy umysłowej, tam wzmacniał siły. Wdzierał się na szczyty wysokie, jak w dzieciństwie, pędził na koniu, lub polował. Wróciwszy do domu, pisał wiersze łacińskie, lub rzeźbił co, gdyż i do rzeźbiarstwa czuł upodobanie. W tym kunszcie nie osiągnął takiej doskonałości, jak w sztuce pisania wierszy, w każdym razie udawało mu się wykonywać rzeczy piękne. Opowiadają, że razu pewnego, wracając podczas wakacyi z polowania

w górach, wstąpił do małego kościołka, leżącego w pobliżu Carpineto. Lubił ten skromny, cichy kościołek, posiadający słynny obraz Matki Boskiej, przeto często go odwiedzał i w samotności się modlił. Wstąpiwszy zatem razu pewnego, dowiedział się z opowieści zakrystyana, że kościołek był wzniesiony z datków wiernych, na gruncie ofiarowanym przez rodzinę Peccich, a obraz Matki Boskiej przeniesiono z niewielkiej kaplicy, stojącej nad brzegiem poblizkiego strumienia. Joachim pragnąc upamiętnić to zdarzenie, ociosał własną ręką wielki kamień, wyrył na nim stosowny napis łaciński i kazał go wmurować nad drzwiami owej kapliczki, gdzie do dziś dnia pozostaje.

II.

Z każdym dniem umysł młodego Joachima wzbogacał się światłem wiedzy, ale także z każdym dniem w sercu jego wzrastała pobożność, zaszczepiona przez nieboszczkę matkę. Bo pamięć zmarłej matki nie opuszczała go ani na chwilę, i teraz również, jako Namiestnik Chrystusa, jako Wielki Papież, grób jej czcią najwyższą otacza. Piękne o tej miłości synowskiej pisze ks. Walenty Załuski, w książce pod tytułem: „Papież Leon XIII", wydanej na pamiątkę dyamentowego jubileuszu kapłaństwa Ojca Świętego. Czytamy tam: „Tak Ojciec Święty ukochał swą matkę, która w r. 1823 zmarła, błogosławiona przez Boga i przez ludzi, a której obraz odzwierciedla się nietylko w Jego oczach, ale i na całe życie zachował w Jego sercu, że i teraz, ilekroć przemawia do dzieci, przemawia zawsze tak serdecznie, i z taką mocą uczucia maluje im, jakie to szczęście mieć dobrą i kochającą matkę i jaką miłością odpłacać należy za trudy i poświęcenia macierzyńskie, iż mimowoli przychodzi wtedy na myśl ten serdeczny stosunek, jaki panował między matką a dziećmi w świętobliwej rodzinie Peccich."

Miłość tedy dla matki sprawiła, że posiew jej tak obfite wydał plony, iż zwrócił Joachima do ukochania stanu duchownego. Z zapałem zgłębiał potrzebne do tego nauki i w r. 1832 otrzymał najwyższe odznaczenie, jakie Kościół przyznaje słuchaczowi akademii, mianowicie: stopień doktora Ś-tej Teologii. Wkrótce pozyskał inny jeszcze stopień: doktora obojga praw. W r. 1834 dwudziestoletni Pecci odebrał niższe święcenia kapłańskie, a w r. 1837, 13 listopada, kardynał Odescalchi generalny wikaryusz papieski, udzielił mu święceń subdyakonatu i dyakonatu w kaplicy Ś-go Stanisława Kostki (do którego Ojciec Święty od najmłodszego wieku ma nabożeństwo), znajdującej się w kościele Ś-go Andrzeja. Miał wtedy Joachim lata odpowiednie, mógł więc przyjąć święcenia kapłańskie, lecz nie śmiał o nie prosić, gdyż powaga, odpowiedzialność i świętość stanu kapłańskiego przejmowały go obawą.


Ojciec św. oczekujący pielgrzymów.

Zdolności Joachima zwracały ogólną uwagę. Łaskawie patrzył na niego Papież Pius VIII, a następca jego Papież Grzegorz XVI, idąc za radą kardynała Pacca, mianował go prezydentem młodzieży uczącej się w akademii teologicznej i swoim prałatem domowym, chociaż Joachim nie był jeszcze kapłanem. Nareszcie w końcu r. 1837 zaczął się Pecci przygotowywać do przyjęcia święceń kapłańskich. Czynił to z wielką pokorą i skruchą, a nawet wahał się, rozważał, czyli jest godny zająć tak ważne i trudne stanowisko. Pisał wówczas do brata: „Za kilka dni będę kapłanem. Wzniosłość tej godności, a własna moja niegodność wzruszają potężnie moją duszę i im więcej ważny ten dzień się zbliża, tem więcej boję się i waham. Niechby mi Bóg, który mnie powołał do ołtarza, dodał siły i męstwa, abym mógł wstąpić na jego stopnie z pobożnością i gorliwością. Niechby mi dał łaskę potrzebną do świętej służby, abym mógł sprostać świętemu powołaniu. Pragnąłbym bardzo, ażebyś na moją intencyę zamówił Mszę Świętą, aby Duch Ś-ty z pełnością łask swoich zstąpił na mnie."

Również z obawami swemi zwierzał się kardynałowi Sala, opiekunowi swemu i przyjacielowi ojca; do niego znów pisał po otrzymaniu święceń dyakonatu:

„Wczoraj otrzymałem święcenie dyakonatu. Radość moja z pewnością będzie i pomnoży się, kiedy dostąpię święceń kapłańskich. Dotąd krok ten wielki tylko bojaźnią mnie przejmuje, kiedy wspomnę na wzniosłość kapłaństwa, a własną moją niegodność. Proszę cię, Eminencyo, nie zapominaj o mnie, poleć mnie serdecznie Panu i innym każ mnie Bogu polecać. Zapewniam cię jaknajszczerzej, że pragnę być prawdziwym kapłanem, że chciałbym Bogu służyć, okazać wielką gorliwość dla chwały Jego, ale w prawdzie i w duchu Świętego Ignacego."

Z takiem namaszczeniem, z takiem przejęciem przystępował Joachim do odebrania wielkiej Łaski, do Sakramentu Kapłaństwa, którego mu udzielił kardynał Odescalchi 31 grudnia 1837 r. Nazajutrz, 1 stycznia 1838 r. odprawił pierwszą Mszę św. w kaplicy św. Stanisława, naszego rodaka, w Rzymie. Chwila ta na zawsze wyryła się w jego sercu. Ponieważ stosownie do jego życzenia, w Carpineto, w tamtejszym kościele św. Piotra, gdzie spoczywają szczątki Ludwika i Anny hr. Peccich, odprawiona została wtedy Msza św. na jego intencyę, pisał wówczas do brata:

„Dziękuję Ci bardzo, że stosując się do mego życzenia, kazałeś odprawić Mszę św. na intencyę moją w dniu moich święceń kapłańskich. Wybrałeś kościół św. Piotra i ołtarz Matki Boski Bolesnej, a wybór nie mógł lepiej wypaść. Ten kościół, gdzie spoczywają naszych przod-

ków i najlepszego ojca naszego, jakichże nie wzbudza myśli we mnie, zwłaszcza, gdy mi się przypomina w tej chwili, kiedy się zbliżam do strasznej Ofiary ołtarza. Wartość nieskończona tej Ofiary niech ich uwolni z więzów, które im opóźniają wstęp do Chwały i niech im udzieli światła, ochłody, spokoju. A Matka Bolesna niech będzie ich Pośredniczką, a niezmierna spazmu i boleści, jakie pod krzyżem przecierpiała, niech im zmniejszą i osłodzą cierpienia, kary, które te błogosławione dusze mają jeszcze do przecierpienia. Niech się tak stanie!“

Niebawem po wyświęceniu, ks. prałat Pecci został mianowany przez Papieża Grzegorza XVI delegatem apostolskim, to jest namiestnikiem w mieście Benewencie. Jako namiestnik tego miasta, zarządzał dwiema prowincyami: Spoleto i Perugią. Było to zadanie bardzo trudne, gdyż zarówno w samem mieście Benewencie, jak i w obydwóch prowincyach, pełno się włóczyło band rozbójniczych, które straszliwie ciemiężyły mieszkańców. Młody namiestnik zabrał się do nich energicznie i działał tak przezornie, że w krótkim czasie wszystkich opryszków schwytał i oddał w ręce sprawiedliwości. Uszczęśliwieni mieszkańcy słów nie mieli dla wyrażenia mu wdzięczności swojej; mówili o nim z zachwytem, nazywali łaską Bożą, wybawicielem. Papież Grzegorz XVI, widząc tak jawne dowody zdolności prałata Pecciego, obdarzył go godnością arcybiskupa Damiettu, a jednocześnie mianował nuncyuszem, to jest posłem i pełnomocnikiem swoim w Belgii. Mieszkańcy Carpineto wielce się uradowali, bo to przecież i na nich cząstka zaszczytu spadła. Jeden z poetów, w tem mieście zamieszkały, w uniesieniu radości, napisał wiersz na cześć nowomianowanego arcybiskupa, w którym powiedział: „Już dziś czytam w wyrokach nieba, że Cię czeka stolica Apostolska.“ Były to słowa prorocze.



Ojciec św. w Bazylice św. Piotra.

W Belgii, jako nuncyusz, tylko dwa lata arcyciskup Pecci bawił, ale czas tak krótki wystarczył mu do zjednania serc i czci ludzkiej. Po upływie tego czasu otrzymał biskupstwo Perugii, na prośbę tamtejszych mieszkańców, a zasiadłszy na stolicy 26 lipca 1846 r. przez lat 30 na niej pozostawał, pracując niezmiernie gorliwie, świadcząc dyecezyanom liczne dobrodziejstwa. Słowem i czynem rozsiewał pomiędzy nimi ziarna wiary, pobożności i cnót wszelkich: pisywał natchnione Duchem Bożym listy pasterskie, zakładał stowarzyszenia pobożne, schroniska dla sierot i grzesznie pokutujących, banki miłosierne. Perugianie do dziś z uwielbieniem wspominają swego dobrodzieja.

Dnia 19 grudnia 1853 roku następca Grzegorza XVI, Papież Pius IX obdarzył arcybiskupa Pecciego godnością kardynała-kapłana tytułu S-go Chryzogona, w r. 1877 wezwał go do Rzymu na stanowisko kamerlinga Kościoła rzymsko-katolickiego, to jest na stanowisko kardynała, który po śmierci Papieża sprawuje rządy Kościoła, dopóki nowy Papież nie zostanie wybrany. Na tem stanowisku pozostawał niespełna sześć miesięcy. Dnia 7 lutego 1878 r. Bóg powołał do Chwały Świętej Papieża Piusa IX, a w 13 dni potem kardynałowie z rzadką jednomyślnością powołali kardynała Pecciego na Stolicę Apostolską. Koronacya nowego Namiestnika Chrystusa, Leona XIII, bo takie imię przybrał Ojciec Święty, odbyła się w kaplicy Sykstyńskiej, a 21 kwietnia Jego Świętobliwość ogłosił pierwszą encyklikę, to jest — pierwszą odezwę do biskupów.

III.

W niezmiernie ciężkich warunkach objął Wybraniec Boży rządy Kościoła. Za Piusa IX Włochy ogarnęła rewolucya, szatan popchnął oszalały lud do targnięcia się na święte prawa Kościoła — rząd włoski zabrał Rzym i całe Państwo Kościelne, będące od wieków niezaprzeczalną własnością Kościoła i Namiestników Chrystusa. Pius IX był zmuszony zamknąć się w obrębie pałaców papieskich, w obrębie Watykanu, gdyż te tylko rewolucyoniści mu zostawili. Po za granicą pałaców ukazywać się nie mógł, bezbożność bowiem do szpiku kości przeniknęła Włochów, wychylając się tedy z Watykanu, narażał się nietylko na dotkliwe nieprzyjemności, ale nawet na śmierć. Leon XIII również dla tych powodów Watykanu opuszczać nie może — jest więźniem w swojem własnem państwie, wśród własnego ludu. Wszystkie obrzędy uroczyste z tej przyczyny odbywać się muszą w murach Watykanu.

Mimo takich trudności, Ojciec Święty Leon XIII rządy sprawuje z nadzwyczajną przezornością, mądrością i roztropnością. Ze wszystkich stron, za Jego panowania, godziły i godzą w nasz Kościół święty gromy, a oto Dzieło Boże dziś otoczone jest świetniejszą, niż kiedykolwiek chwałą. Jego Opiekun, Jego Tarcza i Kierownik pozyskał u całego świata przydomek *Wielkiego.* Już to samo mówi o potężnej pracy, o zasługach nad zasługi Ojca świętego. Żeby zasługi te wymienić szczegółowo ksiąg na to całych trzeba, my opowiemy je pokrótce:

W listach swoich i wezwaniach poruszył Leon XIII dotychczas już wszystkie najważniejsze sprawy, jakie od lat wielu zajmują umysły najdzielniejsze, a pisał o nich po mistrzowsku, wyczerpująco, głęboko i w sposób tak jasny, jak nikt przed Nim.

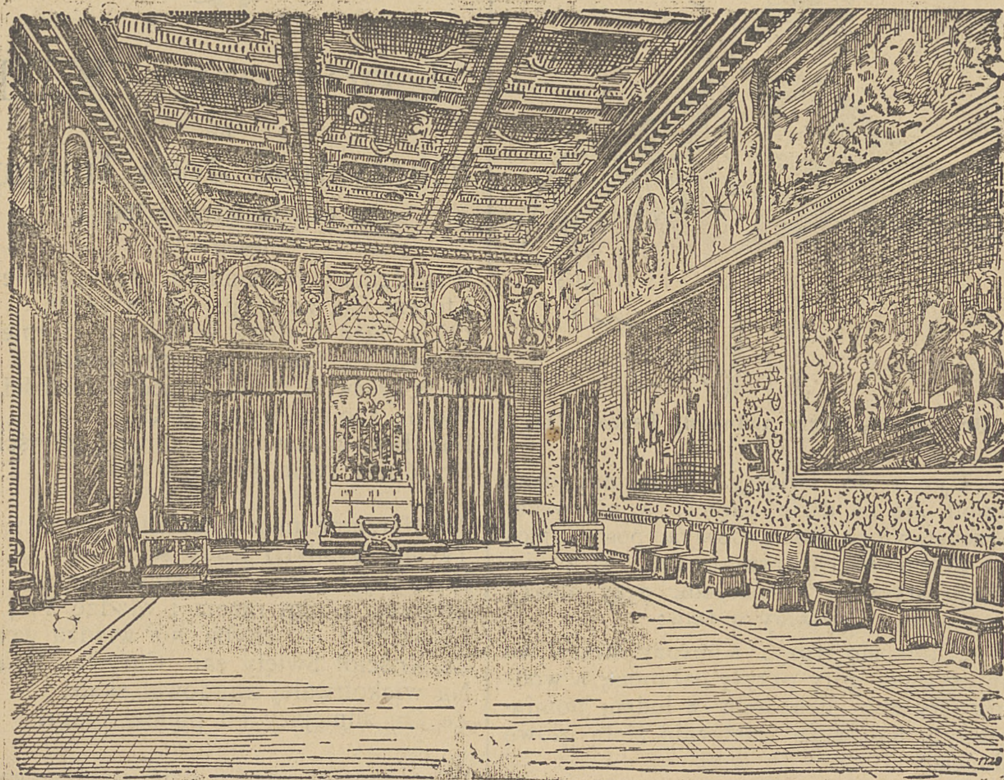
Czy klątwę rzuca na zbrodnicze sekciarstwo masońskie; czy wylicza przymioty Najświętszej Panny Maryi; czy chrześcijańskiej filozofii uczy; czy stosu-

nek robotnika i pracodawcy rozważa; czy się do rządów i polityków zwraca; czy do biskupów i misyonarzy; czy wreszcie do redaktorów i gazet, wszystko co mówi i pisze jest arcydziełem. Nauka i oświata zawdzięczają Mu więcej, niż komukolwiek w tym wieku. Biblioteki i archiwa (zbiory dawnych akt otworzył dla badaczy, przez co studya historyczne olbrzymi krok naprzód uczyniły; gwiaździarnia watykańska stała się pod Jego rządami najsławniejszą ze wszystkich; uniwersytet gregoryański podniósł się przez Niego niesłychanie; przy zakładaniu uniwersytetów katolickich we Fryburgu w Szwajcaryi i w Waszyngtonie w Ameryce był czynny; na poszukiwanie starożytnych pamiątek rzymskich w katakumbach i wykopaliskach wydał już setki tysięcy. Gazety katolickie są przedmiotem nieustannej Jego troski i opieki. Sam mówi i pisze tak pięknie, jak najsławniejsi mistrzowie dawnych czasów, a z taką siłą, z taką głębokością myśli, jak wielcy Ojcowie Kościoła.

Wielkim jest Leon XIII na Stolicy Swojej, chociaż starano się mu wydrzeć broń i berło. Tron Tego jest tylko cieniem tego, czem był przed wiekami, Stolica, gwałtem i przemocą mu wydarta, stała się siedliskiem nędzy i głodu — a jednak państwa i rządy widzą w Nim prawowitego Monarchę, utrzymują przy Stolicy Jego swoich zastępców i posłów. Belgia, Niemcy i Rosya zawarły już od lat kilku przerwane dawniej ze Stolicą S-tą stosunki. Wrogi rząd francuski chciał odwołać posła swego i zastąpić osobistością Ojcu S-mu mniej miłą; odstąpił jednak od tego zamiaru jedynie przez wzgląd na osobę Papieża. Książę Bismark nadawał Mu tytuł monarszy; cesarz Wilhelm wyraził Mu przez osobistą wizytę głębokie uszanowanie; cesarz austryacki, Franciszek Józef, nie chcąc obrazić Ojca S-go, nie oddaje dworowi włoskiemu wizyty, którą odebrał przed siedemnastu laty; król portugalski z tego samego powodu nie odwiedza krewnych swoich w Rzymie, bo chce dać poznać, że Rzym do Papieża, a nie do kogo innego należy; sułtan turecki okazuje przy każdej sposobności Ojcu S-mu uwielbienie, a królowa hiszpańska publicznie powiedziała, że należy oddać Ojcu S-mu Jego własność — Państwo Kościelne z Rzymem. Co więcej, zastępcy Ojca S-go i Jego wysłańcy wszędzie odbierają dowody czci dla swego Mocodawcy.

Wielkim jest Leon XIII, jako Następca Apostołów. Ileż on misyi pozakładał we wszystkich częściach świata! Ileż milionów już wydał na szerzenie wiary, na zakładanie szkół i kościółów pomiędzy ludami dzikimi. Połączenie kościołów rozmaitych wyznań, pod „laską jednego pasterza i jednej owczarni", jest przedmiotem najgorętszych zabiegów, jest Jego gorącem życzeniem.

Wielkim jest Papież Leon XIII jako Ojciec ludu katolickiego. Gwałtownicy zabrali Mu wszystko, co zabrać było można: fundusze kościelne, zakonne, szpitalne, a dzisiaj niesłychane podatki wydzierają ludności resztę mienia. Lud w nędzy swojej zwraca się do Ojca S-go, a On prawdziwie cuda czyni, jako jałmużnik. Trzy i ćwierć miliona franków ofiarowano Piusowi IX po wydarciu mu Rzymu, lecz on odrzucił świętokradzką ofiarę. Leon XIII także nie przyjął jeszcze ani grosza od tych, którzy go ograbili, nie ma dochodów stałych, a miliony już rozdał jałmużny z tego, co sam w postaci jałmużny od wiernych odbiera. Oprócz świętopietrza nie ma Ojciec S-ty nic więcej, ale za to posiada serca wiernych całego świata, którzy na Niego patrzą z uwielbieniem i miłością.


Sala audyencyjna w Watykanie.

Do słów tych należy dodać, że za panowania Leona XIII Kościół rzymsko-katolicki zyskał na znaczeniu i powadze nawet u narodów innych wyznań, liczba wiernych wzrasta w najodleglejszych krańcach świata, rozwija się pobożność i cnoty chrześcijańskie. Ojciec S-ty na wszystko baczy, na wszystko zwraca oko, osobliwie zaś troszczy się o młode pokolenia, pobierające naukę w szkołach i o tych, którym ciężko pracować przypadło.

Jak nietylko wierni katolicy, ale nawet narody innych wyznań, nawet poganie uwielbiają, czczą i miłują Ojca S-go — dowodem tego wymownym była uroczystość dyamentowego jubileuszu, to jest obchód sześćdziesięciolecia kapłaństwa i sześćdziesiątej rocznicy pierwszej Mszy Ojca S-go, obchodzony w Rzymie 1 stycznia 1898 r. Świat cały uczestniczył w tych uroczystościach, składał hołdy i dary bogate. Ze wszystkich stron płynęły do Rzymu pielgrzymki, a była pomiędzy niemi kompania Polaków, złożona z 350 osób, która pod stopy Namiestnika Chrystusa od całego narodu złożyła hołd i wyrazy synowskiego przywiązania.

Rzadki to wypadek w dziejach Kościoła. Przed Leonem XIII było 262 Papieży, a tylko 11 doczekało dwudziestolecia swoich rządów. Leon XIII jest dwunastym, a zarazem pierwszym z Papieży, który na tronie papieskim obchodził sześćdziesiątą rocznicę kapłaństwa.

IV.

Dziewięćdziesiąt lat przekroczył Ojciec S-ty, wieku takiego rzadko kto dobiega, a jeżeli dobiegnie, to zawsze w stanie już zniedołężnienia. Inaczej z Jego Świętobliwością Leonem XIII. Zgrzybiałość wprawdzie znać w Jego postaci, twarz ma bladą, pomarszczoną, ale oko pełne ognia i żywości, głos wywyraźny stąpa raźnie. Wszystko to znamionuje czerstwość ducha, jędrność umysłu. Istotnie — zdumiewać się trzeba, skąd Ojciec S-ty czerpie owe siły duchowe, ową rześkość władz umysłowych, która mu pozwala pamiętać o wszystkiem, pracować po nocach, spełniać obowiązki duchowe, przyjmować tysiące kompanii, poselstw, słowem pracować za dziesięciu z dziarskością młodzieńczą. Snać Bóg Łaskę Swoją spuszcza na Swego Wybrańca. Posłuchajmy, co opowiada ksiądz Waal, szambelan Papieża, o trybie domowym życia Jego Świętobliwości:

„Ojciec S-ty wstaje zawsze rano, chociaż często do późnej nocy pracuje. Raz nawet zastano Go o szóstej rano śpiącego w ubraniu przy biurku; lampa się jeszcze paliła. Raz znowu, w Wielką Środę, pracował do szóstej rano, potem na pół godziny położył się w ubraniu, a następnie odprawił całe Wielkoczwartkowe nabożeństwo.

O wpół do ósmej, co dzień miewa Mszę św. w małej kapliczce, do której tylko najbliżsi i służba mają przystęp, co niedzielę zaś w większej kaplicy; wtedy drzwi otwierają się do przyległej sali, w której znajduje się najwięcej około 25 osób; te przyjmują Komunię św. z rąk Papieża.

Pozwolenia wstępu na Mszę rozdają się oględnie, osobom znanym nietylko z prawości charakteru, ale i z zasad szczerze chrześcijańskich. Wszakże gdyby do kaplicy dostał się niedowiarek, zatwardziałość jego byłaby skruszoną w czasie modłów Namiestnika Chrystusa. Ojciec św. odprawia Mszę długo, z wielkiem namaszczeniem i przejęciem się. Jego cichy, łagodny głos, ruchy ociężałe, nieco drżące, przypominają, że dziewięć z górą dziesiątków lat liczy. Trzech prałatów nieustannie mu pomaga. Od-

prawiwszy Mszę św., również z przejęciem słucha drugiej, odprawianej przez jednego z kardynałów, na intencyę rodziny Pecci; następnie, zasiadłszy w fotelu, tuż przy stopniach ołtarza, błogosławi kolejno obecnych w kaplicy, przytem każdy usłyszy miłe słowo. Jest wtedy serdeczny, uprzejmy, z ust Jego płyną wyrazy poważne, lecz za serce chwytające.

Posłuchań udzielać nie lubi, bo Mu to drogi czas zabiera, ale skoro udzieli, wtenczas choćby i 200 osób było, do każdej łaskawie zawsze coś przemówi. Pewnego razu nadeszły ważne listy z Berlina, którymi był bardzo strapiony, mimo to na posłuchaniu nikt nie poznał, jaki smutek serce jego uciska.

Od godziny 9 do 12 przysłuchuje się sprawozdaniom kardynałów, lub przyjmuje prywatne osoby, a cokolwiek usłyszy ważnego, pilnie zapisuje. Notatek ma tyle, że kiedyś staną się one bardzo ważnym i ciekawym zbiorem. Znakomitych mężów, wysokich dostojników kościelnych zawsze przyjmuje i szczegółowo wypytuje się o wszelkie stosunki.

Pamięć Ojciec św. ma nadwyczajną. Często słucha kardynałów po kilka godzin, potem sam mówić zaczyna, z największą dokładnością zdania sprzeczne porównywa i swoje w końcu wypowiada. Pracuje szybko i nieustannie, od podwładnych również wymaga pośpiechu. Ksiądz Waal miał dokonać tłómaczenia długiej mowy księcia Bismarka. Zabrał się do pracy, siedział noc całą, pijąc czarną kawę i paląc mocne cygara, aby sen odpędzić, a gdy przyszedł i przyniósł pracę, Ojciec św. rzekł:

— „Nareszcie przychodzicie!“

Dla siebie Ojciec św. potrzebuje bardzo mało. Wyznaczył na utrzymanie dziennie 5 franków, a tak mało jada, że kucharz oświadczył:

— „Dla Jego Świętobliwości niewarto gotować.“

Przy obiedzie pije tylko kieliszek starego czerwonego wina. Pewnego razu zalecił mu arcybiskup Granu tokajskie wino na wzmocnienie i przysłał go całą pakę. Wino było przedziwne, lecz Ojciec św. nie wypił ani kropli — wszystko oddał dla chorych w szpitalu.

— „Ja zdrów jestem — rzekł — tamci, biedacy, potrzebują wzmocnienia.“

Wydatki ma olbrzymie; często pół miliona, milion franków przeznacza na podźwignięcie kościołów w Chinach lub Indyach, gdy je prześladowanie lub wylewy rzek w gruzy zamienią. Oprócz tego utrzymanie poselstw, potrzeby różnych kościołów, szkoły, przytułki i inne wsparcia wielkie pochłaniają sumy.

Kiedy się znuży pracą, dla rozrywki zasiada do pisania łacińskich wierszy. W tej sztuce Ojciec św. jest również mistrzem. Poezye Jego mają rzeczywiście treść religijną, są iście Niebem natchnione. Przemawia z nich dziwna słodycz, uczucie rzewne, moc jakaś, która czytającego błogim zachwytem napawa. Znawcy wyróżniają z pomiędzy tych przepięknych utworów dwa szczególniej; są to hymny na cześć świętych Herkulana i Konstancyusza, biskupów-męczenników, patronów Perugii. Św. Herkulan był patronem perugijskim przed wiekami, kiedy barbarzyńscy Gotowie pod wodzą Totyli oblegli miasto. Totyla, zdobywszy miasto zdradą, kazał ściąć biskupa, który podtrzymywał obronę. To zdarzenie Ojciec św. uwiecznił w poezyi. O oblężeniu mówi:

„Od lodowatych krain, gdzie Gotowie osiedli, straszny nadciągnął Totyla; obronne mury i baszty Perugii, dzikiemi hordy opasał dokoła.“

Następnie Ojciec św. maluje trwogę i śmiertelną boleść mieszkańców, w miarę jak nieprzyjaciel coraz bardziej ściska miasto, oraz niepokonany zapał biskupa, który gorącemi słowy dźwiga upadającą odwagę. Siedm lat broniła się Perugia, w końcu zdobyto ją przez zdradę. Biskup pada ofiarą swego poświęcenia, co Ojciec św. tak wyraża:

„Święta ofiara strasznego Totyli, z jego rozkazu pod miecz tępicielski błogosławioną kładzie swoją głowę, sławę swą wieńcem zwiększając męczeńskim.“



Dr. Laponi, lekarz nadworny Leona XIII.

Hymn do świętego Konstancyusza dzieli się na dwie części: w pierwszej przedstawiona jest procesya, postępująca do grobu św. Konstancyusza w zimie, 28-go stycznia wieczorem, przy blasku pochodni. Czytamy o tem:

„Zima się sroży, a mrozy straszliwe śnieżystym góry okryły całunem, a wodnik (styczeń) deszczem z lodem pomieszanym chłoszcze zuchwale złotą głowę słońca.“

Ale ani śnieg, ani mróz, ani mgła nie powstrzymują pobożnych pielgrzymów. Noc się zbliża, lud się tłoczy, w dali, w ciemności rysują się oświetlone, jakby płonące wzgórza.

„Noc już zapada, tłum się wzbija, ciśnie, a tam, w oddali, z pośród nocnych cieniów, niby ogniska, światłości widziadła, świecące wzgórza jaśnieją cudownie.“

Potem Ojciec święty opiewa walkę świętego Konstancyusza z pogaństwem, jego męczeństwo, w końcu poleca się opiece Świętego, prosi, aby dopomógł łodzi Piotrowej, to jest Stolicy Apostolskiej, przetrwać wszelkie burze.

Prześliczne są hymny uwielbiające Bogarodzicę, Której Ojciec św. jest głębokim czcicielem. W jednym z nich poucza, jak się modlić do Niepokalanej Panienki w czasie napaści pokus. Oto urywek tego wspaniałego wiersza:

„Kiedy szpony ducha-szatana jeszcze zwrócone widzisz ku sobie, wtedy z bojaźni westchnij: Mateczko! ratuj z tej kaźni! Z ufnością biegnę pod Twoją obronę, chcę żyć dla Ciebie, aby z aniołami dzielić rozkosze i radość wieczną! Ty mnie wspomagaj, błagam ze łzami, silnego wiarą drogą bezpieczną wiedź, bym nie uległ, ustrzegł się zmazy, Maryo Panienko Przeczysta!“

* * *

Wielki Jubileusz, który obchodzimy obecnie, jest również tryumfem Ojca św., gdyż rzecz to pewna, że rozbudził silne uczucia pobożne, wzniósł serca ku Niebiosom i niewątpliwie do dobra naszego się przyczyni. Staraniem i wskutek mądrych zarządzeń Ojca św. wypadł świetnie. Wierni katolicy powinni gorącą czuć wdzięczność dla Wielkiego Papieża — Dobroczyńcy, że ich ku Zbawieniu zbliża, powinni modlić się z zapałem, szczerością duszy całej, aby Go Opatrzność w jaknajdłuższe zachowała lata.

Ks. Józef Adamczyk.



Leonowi XIII
na
uroczystość Jego Imienin
w dniu 18 Sierpnia 1901 r.

Wśród zmartwień, smutku, wśród utrapienia
Którem Cię zewsząd otacza świat,
Ojcze nasz *Święty*, w wieńcu cierpienia
Zakwitł Ci dzisiaj pociechy kwiat!
Bo gdy świat, pełen grzechu i złości,
Wojnę zaciętą wytoczył Ci,
Pan Bóg cudownie, w dowód miłości,
Przedłuża życia Twojego dni!

Ale daremne nieprzyjacieli
Twoich wysiłki i trudy są,
Którzyby Kościół Chrystusa chcieli
Zburzyć, z nim razem i władzę Twą.
Niebaczni! — chyba nie wiedzą wcale,
Że Kościół Święty sam Chrystus Pan
Na wiekotrwałej zbudował skale,
Że On silniejszy od piekieł bram!

Więc chociaż wichry dziś straszne wyją,
Chociaż się wzmaga niewiary noc —
Burza się sroży — bałwany biją —
Aby pochłonąć Piotrową łódź —
Bezpieczną ona wśród nawałności,
Zdradnych przepaści i zgubnych kier;
Bo nie zaszkodzą jej ludzkie złości,
Bo Twoja ręka dzierzy jej ster!

Bo Ten, co niegdyś na morskiej fali
Podał Piotrowi wszechmocną dłoń —
I Łódź niechybnie Jego ocali!
Jej Sternikowi dziś wieńczy skroń!
A nieprzyjaciół nędzne zamiary
W niwecz obróci: — znikną, jak dym —
Odniosą tryumf *Potęga Wiary!*
Leon Trzynasty — Odwieczny Rzym!

L. N.



Rodzina-Dom.

Jadwiga z Z. S.

(Przedruk dozwolony tylko za podaniem „Pracy“ jako źródła).

(Dokończenie).

Jak wirowanie w huku i szumie zgiełku tłumów, jest epidemiczną chorobą, tak odosobnienie, zupełne zerwanie ze światem, jest słabością, często nader trudną do wyleczenia, a w skutkach nader smutną. Życie domowe, rodzinne, chociaż tak zdaje się jest zupełnym dla siebie światem, chociaż tak stanowi dla siebie całość i odrębność, przecież istnieniem swem jest wpiecione w istnienie narodu i Ojczyzny, a więc musi i powinno być życiem wspólnem z rodakami i narodem.

Powiada wprawdzie Struve, iż:

„Skłonność do odosobnienia jest jednem z charakterystycznych znamion umysłów głębszych“ — jednak zawsze trzeba nad nią czuwać i miłością bliźnich leczyć. Odosobnić się od ludu dla dusz szlachetnych i czystych — to łatwo — nawet częstokroć bardzo korzystnie, bo wśród życia szerokiego, wśród tylu wrzodów i ran szpetnych, jakie się widzi na społeczeństwa organizmie — lepiej zdaje się zamknąć w czterech ścianach i stworzyć malutki świat — ciszy, prawdy, piękna...

Odosobnienie takie — jest samolubstwem, a jako takie, staje się przewiną.

Chociaż poznajemy, iż świat — ludzie, ich cele, ich drogi, ich hasła i słońca są mętne, fałszywe, niskie i brudne — przecież musimy żyć wspólnie z narodu życiem, bo trzeba i leczyć i prostować, uczyć i prowadzić.

Jako ta jedna, cicha, rzewnie brzmiąca struna — nie złączona w akord z pieśnią wielu tonów — utonie i zaniknie w odosobnieniu — tak życie ciche, spokojne, oderwane zupełnie od powinności i obowiązków narodowych, społecznych, zaniknie i kłosów korzyści nie przyniesie.

„Trzeba z żywymi, naprzód iść!“

Trzeba wspierać chwiejnych, rozgrzewać wyziębłych, zachęcać do wytrwania tych, którzy przywaleni są kamieniem zwątpienia — trzeba przykładem, tą potęgą olbrzymią, uczyć, jak można wśród wszystkich mętów i wirów i kurzów, przejść nieskalanie wśród rozdroży i haseł i wichrów — iść do celu. nie zabłądziwszy.

Lecz mówią ci lub owi:

— Dziś świat jest tak zepsuty, tak lichy, czarny, tak truje swym oddechem nawet, iż jeśli chcemy żyć wedle idealnie pojętego planu, musimy się trzymać jak najdalej od ludzi, bo oni nas, ani my ich nie rozumiemy.

— Jakto żyć wśród ludzi, powiadają inni, kiedy jakiekolwiek stosunki wymagają zawsze kosztów, a czasy ciężkie. Nas nie stać na przyjęcia, jakich ludzie żądają. Nie stać nas na herbaty sute, nie mamy mieszkania wygodnego...

A my — dzieci mamy na najpierwszym celu i planie — nic nas nie interesuje, nie obchodzi, nie zajmuje, tylko dzieci. Trzeba dla nich zaoszczędzić trochę grosza, trzeba je strzedz od złych towarzystw. Niewiedzieć jak ochraniać i pilnować, te młode, czyste duszyczki, aby nie dowiedziały się o grzechach i nikczemnościach.

— A czy to łatwo znaleźć ludzi do pożycia? Jedni przyjdą na godzinę, a obmówią na milę, drudzy przyjdą, zanudzą człowieka swoją gadatliwością, swoją obmową, plotkami, inni siebie tylko widzą, o sobie mówią, siebie każą podziwiać. Lepiej sto razy żyć zupełnie w odosobnieniu, jak z takiemi ludzkiemi istotami.

Carlyle zaś powiada:

„Wierzymy z pełnym spokojem, że wewnętrzna istota tego świata jest jakąś niezrozumiałą możliwością, ale zewnętrznie przedstawia się nam ten świat tylko jako ogromna obora i dom roboczy, z niezmiernemi szeregami kuchni i stołów jadalnych — przy których sprytny zawsze może znaleźć miejsce.“

We wszystkiem tem — niestety jest wiele gorzkiej prawdy. Częstokroć towarzystwo ludzi jest ciężarem nader ciężko ugniatającym, a bardzo, bardzo rzadko przynoszącym z sobą trochę jasności, ciepła lub ziarna złotego — a mimo to ludzi trzeba kochać, trzeba umieć żyć z nimi i uczyć dzieci żyć z ludźmi.

Sztuka życia z ludźmi, to przecież największa sztuka wychowania!

Żyć, a nie utonąć razem z nimi. Żyć, a nie zniżyć lotu myśli i ducha, jak oni zniżyli. Żyć, a nie zagasić w sobie ideału człowieka podniesionego do świętości, jak oni go zgasili!

Jakiś mędrzec chiński napisał:

„Kto jest dobrym sam dla siebie, ten ma na oku cnotę tylko jednego człowieka; kto zaś zaszczepia dążności szlachetne innym członkom swej rodziny, gminy, prowincyi, państwa, ten dosięga najwyższego stopnia doskonałości.“

Już poeta nasz Wasilewski woła:

„Szczęśliwy! kto z rodziną, w spokojnej ustroni,
„Wśród uścisków przyjaźni tkliwe pieśni nuci...“

Zerwanie z ludźmi, ze światem, to zawsze samolubstwo i choćby kto nie wiem jak udowadniał, iż to tylko rana głęboko zadana, iż to ból, iż to żal cichy, a nie gniew, ani nienawiść, my zawsze powiemy na to — sztuka największa cierpieć, boleć, a iść dalej z nimi i dla nich!....

Z dzieci chowanych w domach odosobnionych wyrabiają się ludzie zimni i także egoistyczni. A czem dla narodu istnienie takich jednostek — niestety, wiemy z historyi!...

*) „Nie byłoby uciechy bez trudu, słodyczy bez goryczy, jakby nie było światła bez cienia, dnia bez nocy.“ — Nie byłoby najdoskonalszą rzeczą wychowanie młodzieży, gdyby nie było ludzi złych i nikczemnych. Odosobnienie — nie zabezpieczy od zepsucia, ale wyrobienie charakteru od złego broni. Zaś charakter wyrobi się w pożyciu z ludźmi i w ukochaniu ich.

Kogo wiedzie prawdziwa miłośc Ojczyzny i rodaków — ten umie utrzymać pożycie z ludźmi w mierze dobrej i w warunkach najszlachetniejszych. Ani trzeba mieszkania wielkiego, ani przepychu w urządzeniu, ani stołów zastawnych, ani sadzenia się nad możność — trzeba tylko ducha, serca, i przyjaźni!

**) „Jakkolwiek wątłą i nietrwałą jest wszelka doczesność, powinniśmy się starać o zjednanie takich ludzi, którychbyśmy kochali i którzyby nas kochać mogli.“

Zaś Sokrates rzekł:

— Najwyższą zaletą w człowieku jest sztuka jednania sobie serc ludzkich i wiązania ich między sobą wzajemną przyjaźnią; bo tym trybem można *bardzo wiele* na świecie dokonać. *Nie dla siebie samych urodziliśmy się.* Do nas ma prawo Bóg, Ojczyzna, rodzice i wszyscy ludzie, błędy ich i słabości znosić potrzeba.

„Daremnie usta twoje sławić będą miłość i braterstwo, uszanowanie dla cnoty i wiarę prawdziwą, daremnie zaszczepiać zechcesz wyobrażenia z przekonaniem twojem, z rozsądkiem, z powinnością zgodne, daremnie mówię pracować będziesz nad tem, aby dzieci twoje nieskalanymi żadną zmazą stawali się ludźmi — jeżeli duch *samolubstwa* młodą pierś owionie, jeżeli zachowanie i rozmowy najbliższych im osób,

---

*) Kremer. **) Cycero.

zbyt wielką różnicę między *życiem nauki*, a *życiem czynu* im wskażą!“

Nie wybierać ludzi wedle ich kast lub stanowisk, wedle tytułów lub wpływu możnego, nie mierzyć ludzi ich rozumem lub pychą, nie cenić ich bogactwem lub dostojnością, ale kochać tak, jak Chrystus nauczył kochać — maluczkich i wielkich, biednych i spracowanych, bliższych i dalszych...

Żyć z ludźmi, ale tak, aby życie to było wspólną pracą nad udoskonaleniem i podniesieniem ducha, aby życie to było najszlachetniejszą pracą moralną, — czynem stwierdzającym zasady chrześciańskie, aby życie to było kłosem bujnym, a nie plewą lekką, którą wiatr roznosi i igra nią wedle swej woli.

Żyć z z ludźmi, ale nie bawić się nimi, ani nie zmieniać się w lalki strojne, ani nie szukać w ich znajomości i przyjaźni samych róż, lecz mieć to przekonanie, iż się z nimi orze glebę dzisiejszej doby na żniwa jutra niedalekiego.

Żyć z ludźmi, aby im dopomagać w pracach społecznych i narodowych, aby dźwigać wspólnie wielkie ciężary obowiązków ojczystych, aby nie stać się ogniwem z ogromnego łańcucha oderwanem i odrzuconem — bo takie ogniwo zardzewieje i — zaginie marnie...

Chociaż życie takie odosobnione — w zakresie ścian czterech — w otoczeniu najdroższych... jest najmilsze i najsłodsze — jednak trzeba ztąd się wyrywać i splatać z innymi w całość narodowych pracowników i bohaterów.

Życie rodzinne — od narodu nie odrywa, ale naród potęguje — życie rodzinne, chociaż tworzy świat odrębny — sam w sobie zupełny, przecież swojem istnieniem tak się wplata w życie Ojczyzny, iż wszystkie jej potrzeby musi znać — jej wszystkie sprawy musi ukochać i razem z wszystkiemi musi być oddane jej na służbę.

Domy otwarte — to plewa — to kwiaty — to motyle...

Domy odosobnione, to lodowe skały — wyspy oderwane od lądu — drzewa samotnie stojące na uboczy.

Zaś *dom z rodziną* zacną to cząstka Ojczyzny i jako ona o byt swój musi walczyć — o wolności marzyć — życie narodu stwierdzając czynami i postępem.

„Najświętsze nawet i najczystsze węzły świat rozerwać umie, najlepsi się psują, a najtwardsi mienią.“

Kraszewski.

„W nieszczęściu zabiją tylko rozpacz, lub zwątpienie, — wraca zaś życie, wiara i nadzieja.“ —

Ks. Zyg. Chełmicki.

Któż bierze życie tylko jako pieśń piękną i szczęśliwą?...

Któż szukać w niem zechce tylko kwiatów i tęcz barwnych, a w żadną chmurę nie wierzy?...

Te szczyty drzew, które strzeliły najwyżej z ciemnej smugi lasu — najwięcej ucierpią od burz i wichrów srogich, zaś owe nisko ścielące się mchy i porosty — choć piorunów i gromów nie znają, czują przecież depcącą je stopę — walczą z korzeniami szeroko rozścielonemi o odrobinę piasku dla siebie na byt i przytułek.

I ci co wyżej poszli myślą — życiem — cierpią nie jeden raz w walce z wichrami i gromami, o których ani nie wiedzą, ani nie słyszą ci, którzy zamknęli życie swe w najciaśniejszem kole pragnień, wiedzy i potrzeb.

Tak i w życiu rodzin — nie jednakowo słońce pogody i szczęścia świeci. Jedne domy — nie znają, ani nawet wyobrazić sobie nie mogą, jakie burze i gromy biją w inne rodziny — inne gniazda, kolebiące nowych orłów do lotu.

A są przecież nieraz ciosy tak krwawe i tak boleśnie raniące, iż zda się — nadmierną mocą ducha tylko ich się unieść zdoła.

Są niejedne rodziny, które są jakoby wybrane na próby wielkich cierpień i nieszczęść, a — — tem cięższe i bardziej raniące są te ciosy, o których się nie mówi nikomu.

Tragedye i dramaty rodzinne — to ogniowe próby doświadczeń. Wiele z nich — dawało poetom i literatom motywa do utworów wielkich, ale ileż to jest takich, o których nikt nie wie — i nikt się o nich nie dowie!?...

Czem więcej rodzina ma ducha szlachetności w sobie, czem wyżej stoi pod względem pojęcia powinności swych dla najbliższych po krwi — tem stara się ból unieść ciszej i zakryć go głębiej, tak, aby obce oko nie dojrzało, ucho nie dosłyszało jęku.

A dlaczego?

Bo zacna rodzina ceni i szanuje dobre imię swych ojców, dziadów, pradziadów, imię to, które ma w młodem pokoleniu przejść dalej, jako klejnot cenny, a więc ciosy bijące wewnątrz — nieszczęścia zadawane ręką najbliższych — kryje się, aby po za próg domu wieść o nich nie poszła.

Myślimy tu o cierpieniach — spowodowanych nieraz przez członków rodzin.

Bo jeśli spada na jakiś dom, jaką rodzinę nieszczęście spowodowane czy chorobą wielką, czy śmiercią bezlitośną, lub też utratą — mienia — bytu — — zawodu jakiegoś srogiego... wtedy każdy z przyjaciół współczuje — pojmuje nasz ból i staje się on o tyle prawie lżejszym o ile jest podzielony na serca życzliwe.

Lecz jakże często i boleśnie wtedy, gdy rani nas dziecko własne, brat, siostra, mąż, żona... a my jesteśmy bezradni, bezsilni i nic innego nam nie zostaje jak tylko — cierpienie!...

Charaktery ludzkie dziwnie się nieraz zmieniają, wyginają, krzywią — w pojęciach nieraz tworzą się jakieś odrębne, dziwaczne zasady, narastają na ludzkich myślach jakieś garby — jakieś polipy — choroby rozmaite tworzą się, a to trzeba umieć znieść — zgodzić się na to i iść z tem dalej!

Walczyć?...

Rzecz naturalna, walczyć szlachetnie, umiejętnie, cierpliwie, dokąd się da, ale — gdy przekonamy się, iż wszelka praca i trud daremny — co wtedy?...

Stare przysłowie nasze powiada: — „zły to ptak, który własne gniazdo kala“ — więc też i każdy zacnie myślący człowiek mówi: złe to serce, które wywleka na świat wady i ułomności swoich najbliższych.

Tak!... na zewnątrz, po za próg domu, po za granice najbliższych — wad i nawyknień i ułomności rodziny nie wywleka się.

Ale jakże żyć z niemi wśród swoich?

Dorosły dzieci w domu — synowie z życia szerszego, z światu dalekiego wracają do domu — córki już mają edukacyą ukończoną, panny dorosłe. — Tu — wchodzi do rodziny nowy członek, jako szwagier, tam przybywa znów istota jedna jako synowa, bratowa. Rodzina się zwiększa, a każda jednostka jest swoim światem, każda ma swoje indywidualne zalety lub wady, swoje uprzedzenia lub nawyknienia, z któremi się rozstać nie chce, a które dla innych wydają się monstrualnie brzydkie — szpetne — kolące — dziwne — niepojęte — nieznośne — kalectwo prawdziwe.

Czy podobna wymieniać tu dokładniej i jaśniej te zdarzenia, które w tkaninie życia tworzą węzły — skazy, znaki, psują szczęście — gaszą nadzieję i miłość?...

Chrystus powiedział: „znoście wzajem brzemiona wasze“, — ale jakże to trudno wykonać?... Bo i zaprawdę niema nic przykrzejszego do uniesienia w życiu, jak wady i dziwactwa tych, z którymi musimy żyć blizko, a przecież — jeśli rodziny

nie poczną od tego, iżby znosiły cierpliwie wady blizkich — naród nigdy nie stanie się silnym i potężnym!...

*) „Serce człowieka jest księgą, której nigdy on nie przeczyta do ostatniej stronnicy, zwłaszcza, gdy ta jest niezbyt mu pochlebna. Zna zazwyczaj to, czegoby nie powinien znać, to jest swych zalet, a nie zna tego, co najbliżej powinienby poznać, to jest wad i ułomności i tym właśnie sposobem... grzęźnie w zupełnej nieznajomości siebie."

Najłatwiej też odkryć nam wady i ułomności tych, z którymi ciągle jesteśmy. Gdy Napoleon powiedział, iż — „wobec żony i lokaja nikt nie jest wielkim", to i my rzec możemy, że w obec członków rodziny i ci, którzy zdają się świecić wielkiemi zaletami, szarzeją i maleją, a to dlatego, bo my czujemy ciągle ich ułomności i wady i nawyknienia, a zalet i cnót i czynów wielkich nie spostrzegamy.

Wielkie ciosy zewnętrzne, wielkie burze i gromy, niepowodzenia i dolegliwości, przez to samo stają się dla nas nieraz lżejszemi, iż przechodzą, mijają, a po nich tocząca się fala czasu — zagoi bliznę, pamięć poczciwa zasnuje ich ranę — zapomnieniem i tylko jak echo dalekie czasem myśl o nie zadzwoni.

A tu — drobne — dokuczliwe — codzienne kolce ranią i gniotą i stają niby kamykami na drodze, ani o nich zapomnieć, ani się od nich uwolnić, ani ich ubłagać, ni uprosić.

Jedyna na to rada — cierpliwość.

Kto w nią się uzbroi — zrobi wiele i życia swego nie zamąci ciągłemi burzami i starciami się i drugim, tym, którzy są obok niego, serca nie ukaleczy wymówkami i wyrzutami.

Ale na takie znoszenie wad ludzkich potrzeba charakteru bardzo silnego i woli wytrwałej.

Wszelkie starcia — gniewy, przymówki — to błyskawice, które migają, ale nic nie zrobią.

Zdarzy się czasem, wyjątkowy taki wypadek, iż osoba starsza — da się jeszcze przełamać, nagiąć, wyleczyć z jakiegoś garbu swoich nawyknień, ale to są zdarzenia nader wyjątkowe. Przeciwnie dzieje się u wielu. Właśnie ta ich wada, nawyczka, nałóg, jest u nich najcenniejszą rzeczą, ona tak wrosła do nich, oni do niej, iż raczejby wiele u siebie wykorzenili, a tego nie wyrzucą. Więc pocóż starcia — wymówki — perswazye?... Zamykać oczy na te ospowate znaki i — gdy one nam poczynają dokuczać, zająć się czem innem, aby myśl od tego odwrócić...

**) „Przebaczenie *ułomnym*, miłosierdzie *słabym*, powolność *zbłąkanym*, opieka *wszystkim*, miłość *najmniejszym* i *największym* miłość!...

. . . .

Zapewne — gdy dojdzie ludzkość do tej doskonałości, iż przez *wychowanie* dobre i *naukę* szlachetnie podawaną — wykolebie pokolenia wyższe nad nałogi i wady i garby dziwactw rozmaitych — wtedy tysiące cierni i kolców odpadnie. Lecz jeśli teraz jeszcze — każdy — kryje i pielęgnuje w głębi swego „ja" — jakąś wadę — umiejmy znosić cierpliwie nawyknienia drogich nam osób.

***) „Dusza nie podpada kalectwu, a niedołężność i kalectwo umysłu, chociaż nam codziennie podpadają pod oczy, zdarzają się nawet w najpiękniejszem ciele, ale są niekiedy dziełem samych filozolicznych wychowańców."

„Wszyscyśmy ziemskich padołów dzieci,
Piołunu każdy wypija czarę,
Tak *ów,* co tłumom *blaskiem* swym świeci
Jak owe same te *tłumy szare.*

*) Marchal.
**) Krasiński.
***) Śniadecki.

Więc przyjacielu, gdy ci pokryją,
Duszą ranami boleści szpony,
Pomnij, że z tobą na ziemi żyją
Dusz takich samych, jak twa *miliony!"*

Rodzina! Świat wielki — niezmierzony — niezgłębiony!...

Czy możemy rzec, iżeśmy wszystko o tym świecie powiedzieli?...

Każdy przyzna, iż tak nie jest. Jest tu kilka myśli, kilka prawd rzuconych — rozsnutych — do rozwagi powiedzianych. Kilka tonów odtworzonych z wielkiego akordu obowiązków i powinności ludzkich, kilka barw odtworzonych przez pryzmat myśli i uczucia...

Jednak, choć nieudolne to i niewykończone na dzieło wielkie, na jaki by sam temat powoływał — ośmielam się rzucić tę pracę drobną wśród rodaków.

Może być, iż padnie ona tu lub tam na serce gorące, na myśl żywą i wywoła życzliwe słowo. Może u innych zostanie odepchnięta. Jeżeliby zaś zdziałała tylko tyle, iżby w jednej rodzinie, w jednym domu — wzbudziła pragnienie żywej wiary, gorącej miłości Ojczyzny i pracy nad podźwignieniem ducha z ciasnego koła samolubstwa, jużby dała kłos bogaty i — była stokrotnie wynagrodzona.

Pozostaje nam jeszcze wiele do rozważania. Jeśliby ta praca nie poszła na marne, jeśliby rozeszła się wśród rodaków i jako tako została życzliwie przyjęta — ukończylibyśmy ją w drugim tomiku, którego treść byłaby dopełnieniem wypowiedzianych tu myśli.

Pomnijmy na słowa Mickiewicza:

„Społeczeństwo odradza się zasadami i pragnieniami."

Nie trzeba gardzić pragnieniami, bo one są pierwszą siejbą myśli — za myślą — ścielą się czyny.

Nasza praca — jest pragnieniem przysłużenia się jakokolwiek sprawie podniesienia życia rodzinnego w narodzie, którego śmierć głoszą i którego — dobijają. Dobijają gangreną moralną, psuciem obyczajów, gaszeniem wiary — wskazywaniem na nowe bogi i nowe dekalogi — a każdy dzień — zastaje nasze domy i rodziny uboższe duchowo — zimniejsze w uczuciach, chmurniejsze w życiu.

Obyśmy wytrwali i zwyciężyli najpierw w poprawie życia rodzin polskich, a potem w życiu narodu, który chociaż powtarza śmiało, iż nie zginął — zaginąć by mógł, gdyby upadły rodziny i cnoty!...

„Rodzina to kolebka i cnót wszelkich zaród
Z niej wyrasta, co tylko ma wielkiego naród!"



Złote myśli.

Gdy człek trafi po drodze na rosnące głogi,
Kobieta kwiat pociechy rzuca mu pod nogi.
Czegóż na nas nie może matka i kochanka?
One lwa czynią z tchórza, z tygrysa baranka.

Godebski.

*

Teraz nietylko worki i kieszenie są próżne, ale i kobiety.

Żółkowski.

*

Trzy rzeczy od trucizny gorsze na tym świecie:
Nocny kompan, przyjaciel chytry, złość w kobiecie.

Minasowicz.



Zagadkowe drzwi

Oryginalne tłomaczenie z angielskiego dla „Pracy“ przez P. Otrys.

(Przedruk wzbroniony.)

(Dokończenie).

Usta Steinwortha wykrzywiły się strasznym, dzikim uśmiechem, gdy wymawiał te słowa.

Nie był on teraz wcale podobnym do siebie. Gdy Goring widział go po raz pierwszy owego pamiętnego dnia, był Steinworth przystojnym, swobodnym młodzieńcem; głos jego brzmiał dźwięcznie, mówił płynnie i gładko i wywierał bardzo korzystne wrażenie. Obecnie twarz jego budziła wstręt prawdziwy; zgolony wąs odkrywał sine, wykrzywione usta, oczy miały wyraz błędny, a ochrypły głos zdradzał tłumioną wściekłość.

— Mówisz pan, że jesteś początkującym? — zaczął Goring poważnie. — No, w takim razie muszę przyznać, że ze względu na nieprzyjemne położenie, w jakiem się znajdujesz, zachowujesz się dosyć spokojnie. Zaledwie wróciłeś do przytomności po głębokiem zemdleniu, odzyskałeś zimną krew, i starasz się nawet być złośliwym... Czy myślisz pan, że to rozsądnie? Rozważ sobie lepiej każde słowo dokładnie, zanim je wymówisz! Nie pogarszaj sprawy!

— Dziękuję za dobrą radę, ale pan znasz moją tajemnicę, zabrałeś pieniądze, i gdy powiesz sędziemu, że dobrowolnie wyznałem prawdę, to przyjmie może okoliczności łagodzące.....

— Ach, tak, widzę, że pan zaczynasz znowu być rozsądnym. Dobrze więc. Inspektor Briges i ja będziemy uważnie słuchać. Proszę, mów pan!

Steinworth przygryzł usta tak mocno, że na wardze ukazały się krople krwi. Już chciał odwołać postanowienie wyznania prawdy, złośliwa uprzejmość Goringa doprowadzała go nieomal do szaleństwa, ale zaraz po tem przyszło mu na myśl, że policyanci mogliby go podejrzywać o przyczynienie się do śmierci pani Davorn, a tego pragnął bądź co bądź uniknąć. Bo w głębi duszy był on wielkim tchórzem, a próżność jego nie sięgała tak daleko, aby go ludzie podziwiali jako mordercę lub człowieka, chcącego kogoś zamordować.

— Powiem wszystko, — rzekł stanowczo.

— Ale mów pan wolno, — prosił Goring, — bo mój przyjaciel musi zeznanie pana spisywać dosłownie.

Inspektor, zawsze jeszcze mocno na Steinwortha obrażony za lekceważenie jego osoby, usiadł przy stole, wyjął notes i ołówek i skinął głową na znak, że już gotowy.

I Steinworth zaczął mówić:

— Przypadkiem dowiedziałem się, że pani Davorn wzięła pieniądze z banku. W tym samym czasie byłem tam także, stałem blizko okna, przez które jej banknoty podano, i..... ale mniejsza o to..... Znajdowałem się w bardzo przykrych stosunkach pieniężnych. Widok pieniędzy w rękach pani Davorn, pieniędzy, mogących mnie ocalić od zupełnej ruiny, doprowadził mnie do rozpaczy. Dodać jeszcze muszę, że kocham pannę Rodney, i że chciałem koniecznie usunąć doktora Evansa, którego nienawidzę z całej duszy! Myślałem sobie, że skoro pozbędę się tego rywala, to pozyskam łatwiej może serce Alicyi! Nie wiedziałem jednak, że dzień ślubu jej był już wyznaczony...

— O, to bardzo ważne, — zawołał Goring, — ale poczekaj pan chwilę! Pan Briges nie może tak prędko pisać.

W pokoju przykre zapanowało milczenie, przerywane jedynie cichem skrzypieniem szybko posuwanego ołówka.

— No, mów pan dalej, — rzekł detektyw po kilku minutach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY.

— Byłem więc w rozpaczliwem położeniu, — zaczął znowu Steinworth, — i nie wiedziałem, w jaki sposób dojść do celu. Najpierw chciałem wyznać miłość moją pannie Rodney, i prosić ją o pomoc, ale nie miałem na to odwagi! Przemyśliwałem, jak dostać w posiadanie pieniądze, znajdujące się, podług mego zdania, w pokoju pani Davorn... Około dziewiątej usłyszałem zbliżające się kroki do domu, potem zadzwonił ktoś — i dziwna rzecz! odgadłem natychmiast, że to był ten przeklęty doktor Evans, który tak późno jeszcze przychodził. Słuchałem z natężoną uwagą i poznałem istotnie jego głos, a równocześnie przebiegła mi, jak błyskawica, myśl, że bytność mego rywala, bo jako takiego uważałem go od dawna, mogę wyzyskać na moją korzyść. Tak jest, postanowiłem wziąść pieniądze i urządzić wszystko tak, aby podejrzenie na niego padło! I gdy tak rzecz tę rozważałem, przyszło mi na myśl odkrycie, które przed kilku tygodniami przypadkiem zrobiłem, odkrycie, tyczące drzwi mego pokoju!

— Wolno, wolno, — rzekł Goring. — Więc jak to było z owemi drzwiami?

— Przed kilku tygodniami czytałem jakąś powieść — w starym zamku w Szkocyi były drzwi, których nikt od strony pokoju otworzyć nie mógł, a pomimo to, bohater powieści, uwięziony w owej komnacie, potrafił ocalić się ucieczką. Znał on tajemnicę drzwi. I wtedy, mimowoli, spojrzałem na moje drzwi, i więcej dla zabawy i ciekawości, spróbowałem tego samego środka... I udało mi się! Widocznie przed wielu laty używano takich drzwi — w jakim celu, nie wiem! Zauważyłem, że zawiasy leżą bardzo głęboko i że są tylko przymocowane dwoma szrubami, których pod grubą warstwą farby wcale nie widać. Skoro więc szruby te są wyjęte, opadają zawiasy, umieszczone na drzwiach, i można wygodnie wyjść. Próba ta kosztowała mnie dużo pracy, ale teraz byłem szczęśliwy, że poznałem tajemnicę, która mi tak pomódz miała! Nikt w świecie nie mógł mnie posądzić o wyjście z pokoju przy zamkniętych drzwiach, bo wyjście oknem było wprost niemożliwem!

— A jednak pierwsze podejrzenie padło na pana, — rzekł Goring.

— Evans opuścił dom, — mówił Steinworth, nie zważając na słowa Goringa, — i po upływie godziny, usłyszałem na dole głośny krzyk, ale zaraz potem nastąpiła głęboka cisza...

— O której godzinie to było?

— Nie wiem dokładnie, może około dwunastej. Nareszcie otworzyłem drzwi, wyszedłem do sieni, i ku wielkiemu memu przerażeniu ujrzałem Vickerego, stojącego na schodach. Był on jak gdyby uśpiony — nagle odwrócił się i wszedł do mego pokoju. Zbliżył się do mego łóżka, wyciągnął ręce, potem poszedł do szafy, otworzył ją, szukał czegoś i nareszcie wybiegł szybko. Stałem jak skamieniały, poznałem jednak, że Vickery czynił wszystko bezwiednie, bo oczy miał zamknięte. Gdy przechodził koło mnie, dotknąłem jego ramienia, ale on nie czuł tego. Teraz odzyskałem odwagę. Vickery wrócił do swego pokoju i nie zamykając drzwi, położył się do łóżka. Wyszedł on naturalnie w tym samym, jak ja, celu, chciał panią Davorn uśpić chloroformem, a zamiar jego znowu posłużył na moją korzyść. Mogłem śmiało liczyć na to, że albo na niego, albo na doktora padnie podejrzenie, bo wszyscy wiedzieli, że jeden i drugi posiada chloroform. Poszedłem więc do jego pokoju, wziąłem butelkę tego płynu i zabrałem gąbkę, którą Vickery zostawił u mnie. Nalałem na nią znaczną ilość chloroformu, postawiłem resztę na dawniejszem miejscu, zamknąłem sypialnią Vickerego na klucz, poszedłem do pokoju pani Davorn i uśpiłem ją... a przynajmniej myślałem, że ją ubezwładniam. Pieniądze znalazłem bardzo prędko, bez wszelkich trudności, ale nie wiedziałem, gdzie je schować. Chcąc zaś zwrócić podejrzenie na doktora, otworzyłem okno — tak, aby ludzie sądzili, że on się oknem włamał i skradł pieniądze... Ach, jak ja tego człowieka nienawidzę!...

— Nienawiść ta pobudziła pana do nieostrożności — zauważył Goring.

— Może być! Gdy wróciłem do mego mieszkania, zabrałem się do powtórnego odszrubowania zawiasów i przy tej sposobności zesunął mi się świder nagle w jakiś otwór. Przy bliższem badaniu poznałem, że znajduje się we drzwiach mała skrytka; drzwi te są, jak się pan mogłeś przekonać, niezwykle grube, i gdy zdjąłem cienką deseczkę, przykrywającą otwór, wykrzyknąłem uradowany. Lepszego miejsca dla banknotów nie było nigdzie! Ułożyłem je więc w skrytkę, przytwierdziłem znowu deseczkę, zamalowałem wszystko szybko schnącą farbą, którą oddawna posiadałem i praca, chociaż bardzo mozolna, wkrótce była ukończoną. Nic nie zdradzało mej tajemnicy!

Steinworth umilkł i otarł pot, spływający mu z czoła.

— Nie wiele mi już pozostaje do opowiadania — rzekł po chwili. — Była to okropna noc i nie wiem doprawdy, jak ją przeżyłem. Gdy nareszcie stanąłem w moim pokoju, myślałem, że zemdleję, najwięcej miałem obawy o białą farbę — czy też dosyć rychło uschnie! Podług mego zdania powinna była uschnąć w dwunastu godzinach — gdyby tak było rzeczywiście — byłem ocalony.

— A jednak zapach farby olejnej naprowadził mnie na właściwą drogę — przerwał Goring. — Gdy badałem uważnie drzwi, była farba zupełnie już suchą, ale zapach oleju był dowodem, że niedawno nałożono ją tutaj. Chcąc się dokładniej o tem przekonać, zeskrobałem nożykiem część farby, ujrzałem zawiasy przymocowane płasko na drzwiach i domyśliłem się od razu, że cała zagadka leży we drzwiach! Ale powiedz mi pan teraz, dlaczego nie wziąłeś pieniędzy wczoraj w nocy? Czy wiedziałeś, że jestem tu, w twoim pokoju?

— Ah! — zawołał Steinworth zdumiony — pan byłeś tu? A ja sądziłem, że dom całkiem pusty! Czemu wczoraj pieniędzy nie zabrałem? Bo chciałem najpierw jeszcze rzucić większe podejrzenie na Evansa — o pieniądze nie potrzebowałem się obawiać. Zamierzałem je wziąść dziś i uciekać do Australii! Ach, jak mi słabo...

Steinworth umilkł i pochylił głowę. W tejże chwili dało się słyszeć głośne pukanie do drzwi.

I znowu zemdlał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY.

— Otwórz pan drzwi — rzekł Goring do inspektora. — Jest to zapewne jeden z policyantów, który nie wie, czemu się tutaj lampa pali. Poślij go pan zaraz też po jakiego doktora i po trochę wódki dla naszego chorego.

Po upływie dziesięciu minut wrócił inspektor z butelką koniaku, i otworzywszy przemocą usta zemdlonego, wlał mu kieliszek ożywczego płynu.

Chory zwolna odzyskał przytomność.

— Cóż to, zawsze jeszcze jestem tutaj? — szepnął z rozpaczą. — Czy nigdy już nie wyjdę z tego okropnego domu?

— Posłałeś pan po doktora? — zapytał Goring.

— Tak. Był to istotnie Jung — odrzekł Briges. — Zauważył światło w domu i chciał się przekonać, kto się tu znajduje. Jest to bardzo pilny...

— Zdaje mi się — przerwał Goring — że doktor idzie. Słyszę głosy w sieni...

Inspektor otworzył drzwi, a przed nim stanął — Maurycy Evans i Jung.

— Dziwna rzecz — rzekł Maurycy — że mnie właśnie zawołano... Co się tu znowu stało?

Goring opowiedział mu w kilku słowach całą sprawę, i Maurycy zbliżył się natychmiast do chorego, który leżał nieruchomo, z zamkniętemi oczami.

— Sądzę — szepnął Briges — że my tu jesteśmy niepotrzebni. Jung doniósł mi właśnie o nowej kradzieży i chce koniecznie, abyśmy z nim poszli. Pan doktor da sobie sam radę z tym nawpół nieżywym człowiekiem.

— Bardzo dobrze — odrzekł Goring. — Moje zadanie skończone, a zresztą jestem strasznie zmęczony. Zostaw pan tu jednego z policyantów na wszelki przypadek. No, doktorze, jakże z chorym?

— Jest on niezmiernie osłabiony i całkiem nieprzytomny!

— Nie lepiej przenieść go do domu chorych?

— Chwilowo — nie! Zostanę tu przy nim — gdyby to głębokie zemdlenie miało się powtórzyć — byłoby z nim bardzo źle. Wątpię też, czy wnet odzyska trochę sił...

— Zostawimy tu policyanta do pomocy.

— Dobrze, ale proszę mu powiedzieć, aby się w moją sprawę nie wtrącał.

— Umieszczę go w pokoju Vickerego. Trzeba zawsze być ostrożnym, a Steinworrh jest dosyć niebezpiecznym człowiekiem. Nie chciałbym, aby się ulotnił!

— O tem nie ma mowy — odrzekł Maurycy. — Ale obecność policyanta jest mi nawet konieczną, bo prawdopodobnie będę potrzebował jego pomocy. Stan chorego bardzo jest groźny.

— Zgoda — zawołał Briges. — Pilnuj pan tylko troskliwie pacyenta! My wnet po niego przyślemy.

— Jeżeli go wyższa moc nie powoła...

— Ah, więc myślisz pan, że on nie dożyje jutra rana? — rzekł Goring.

— Może być!

— Ale możliwem też jest, że wyzdrowieje?

— O tak!

— Staraj się pan, aby podpisał swe zeznania. Przeczytaj je tymczasem, bardzo one pana zajmą!

Maurycy uśmiechnął się.

— Nie żartuję, — rzekł Briges, wręczając mu kilka kartek zapisanych. — Chodzi tu też o pana.

— Obecnie interesuje mnie tylko mój pacyent a nie jego zeznania — odpowiedział Maurycy spokojnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY.

Nazajutrz około siódmej rano wrócił Briges w towarzystwie Goringa na ulicę Feldpart i udał się natychmiast do domu pani Davorn. Policyant Jung otworzył drzwi.

— Oho, — krzyknął Briges, patrząc na czerwoną twarz policyanta — widzę, że spałeś mój przyjacielu! Nie kłam — dodał rozgniewany, gdy Jung otwierał usta, aby coś powiedzieć.

Briges łagodnym był człowiekiem, ale policyant, zaniedbujący swoje obowiązki, mógł go do wściekłości doprowadzić.

— W pokoju Vickerego dziwna panuje atmosfera — jąkał biedny Jung — zapewne woń chloroformu...

— Milcz — zagrzmiał inspektor. — Wszystko tu zresztą w porządku?

— Tak, tak!

— Gdzie doktor Ewans?

— Śpi na dole w pokoju jadalnym!

— A gdzie więzień?

— Zamknięty w swoim pokoju, oto klucz.

— Ładna historya — odezwał się teraz Goring. — Założymy się, że ptaszka nie ma już w klatce!

— Wszystko w porządku — zawołał znowu Jung drżącym głosem.

— Spodziewam się tego w twym własnym interesie — krzyknął Briges — inaczej popamiętasz... Pójdźmy teraz do doktora i słuchajmy, co on nam powie.

W tejże chwili ukazał się Maurycy na progu.

— Dzień dobry — rzekł wesoło — czułem się tak zmęczonym, że musiałem spać kilka godzin.

— A cóż pacyent?

— O, miewa się bardzo dobrze... Podpisał dokument...

I Maurycy oddał inspektorowi zeznanie Steinwortha.

— Czytałeś pan wszystko? — zapytał Briges.

— Nie, ani jednego słowa!

— Steinworth jest naturalnie w swoim pokoju?

— Wychodząc, zamknąłem go na klucz i oddałem klucz panu Jungowi.

— Co on panu powiedział...

— Mówił dużo, ale przyrzekłem, że będę milczał!

— Przyprowadzić tu więźnia — rozkazał inspektor, zwracając się do Junga.

Policyant wyszedł.

— Prędko! Prędko! Pomocy! rozległo się po chwili głośne, rozpaczliwe wołanie na górze.

— To głos Junga — roześmiał się Goring. — Widać, że Steinworth po raz drugi skorzystał z tajemnicy drzwi...

— Panie doktorze — rzekł teraz Briges groźnie — jeżeli sobie z nas zażartowałeś, to uprzedzam pana, że żart ten drogo cię będzie kosztować!

— Ani myślę o żartach! Postąpiłem ściśle podług życzenia pana! Udzieliłem pomocy lekarskiej ciężko choremu więźniowi, zamknąłem go na klucz, który oddałem pańskiemu urzędnikowi. Oto cała moja zbrodnia! Czegoż pan właściwie odemnie żądałeś?

— Liche wymówki — krzyknął inspektor rozłoszczony i pobiegł na górę.

. . . .

— O, najdroższy — szeptała Alicya, patrząc z miłością na twarz narzeczonego — ja doprawdy nie widzę nic złego w twoim uczynku! Ale nie narazi cię to na nowe nieprzyjemności.

— Nie. Inspektor Briges uważa mnie wprawdzie za wielkiego zbrodniarza, ale nie może mi żadnej winy udowodnić. Goring nawet — jestem tego pewien — pochwala w duszy moje postępowanie. Pomimo wszystkiego trzeba było mieć litość dla nieszczęśliwego Steinwortha!

— Myślisz, że dostał się do Ameryki?

— Naturalnie, jest to sprytny i przebiegły człowiek. Szkoda go!

— A Vickery?

— Vickery pracuje nad nowem odkryciem. Ma on podobno wielkie zdolności i prawdopodobnie dojdzie do celu, jeżeli siły mu dopiszą. Używanie chloroformu osłabiło go niezmiernie.

— Ah, Maurycy, jakiś ty szlachetny! — zawołała Alicya wzruszona. — Największemu wrogowi pomogłeś do ucieczki! O jak ja jestem dumną z ciebie!

— Dziękuję ci za te słowa! I zobaczysz, że zasłużę na nie pod każdym względem. Doktor Percival i ty zrobicie ze mnie prawdziwą doskonałość. Przedewszystkiem jednak muszę się najtrudniejszego nauczyć zadania, to jest panowania nad sobą.

— Co do tego — zawołała Alicya wesoło — to myślę, że jesteś na najlepszej drodze. Bo nie pamiętam już wcale, kiedy mi powiedziałeś: kocham ciebie.

KONIEC.



MIŁOŚĆ BEZ GRANIC.

POWIEŚĆ ORYGINALNA,

osnuta na tle powstania narodowego z roku 1863-go,

napisana przez

Alberta Gorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wraz z mową Michała zajęczał Stanisław, głęboka rana targała mu piersi, szarpały nim największe bole, prężył się, podnosił głowę i opuszczał ją ciężko na ziemię, rzucał konwulsyjnie rękami, drżał cały i biała ślina z krwią czerwoną zmieszana, zafarbowała mu usta.

Michał podniósł się, przykładał rękami rzucające się członki rannego i zaklinał go o spokój.

Uspokoił się ranny; Michał skrobał się w głowę i wykręcał ręką, zapytywał siebie: co pocznie i na to pytanie nie umiał dać odpowiedzi.

Oczywiście trzeba było coś począć, tak długo pozostać nie mogło, mogli lada chwilę nadejść i wtenczas już wszystko przepadło.

Zdobył się wreszcie na postanowienie. Tym razem bez ogródek, bez wielkiego namysłu i przygotowań zabierał się do dzieła; niebezpieczeństwo było bliskie i zupełnie widoczne, pośpiech był koniecznie potrzebny. Jak stał tak chwycił za płaszcz, na którym leżał rozścielony ranny, obiema rękami uchwycił dwa przeciwne jego boki, przybliżył do siebie, zwinął, objął silnie rękami i podniósł do góry.

Rozległ się jęk głuchy i wykrzyk wielkiego bolu. Wstrząsł się Michał, zastraszył i położył płaszcz z ciężarem na ziemię.

— Umrę, nie męcz mnie, ja i tak wnet umrę — jęczał Stanisław.

— Cicho, dla Boga, oni są blizko.

Stanisław znowu chwilę rozmyślał, przytomniał widocznie, zrozumiał o co rzecz chodzi.

— W kieszeni w surducie jest ołówek i papier, podaj mi tutaj — powiedział.

Michał uczynił jak mu kazano.

— Podnieś mię trochę i podtrzymaj mi plecy.

Michał podniósł rannego i podtrzymywał rękami, Stanisław wziął do ręki ołówek, rozłożył na kolanach papier i pisał z największem wysileniem.

Pisał ręką niepewną, drżącą, jednej ręce pomagał drugą; po nadludzkiem wytężeniu narysował kilka słów na papier, na górze był napis: do Maryi! na Pradze, nad Wisłą; spodem napisał: Maryo! umieram, bądź zdrowa.

Kiedy skończył pisać powiedział:

— Oddasz ten papier Michale szewcowi Gruszce w Warszawie; ten sam, u któregośmy byli przy naszym wychodzie, niech go odeszle. Teraz mnie połóż na ziemię.

Michał położył rannego; kiedy go układł, głośniejszy jęk wyrwał się z jego piersi, grało w nich jak w rozbitej trąbie; z ust bluznął mu strumień czarnej, zapieczonej krwi, koszula na piersiach poczęła czerwienieć, biała obwiązka na ranie krwią się zalała.

— Jezus Marya! — zawołał Michał i załamywał ręce w rozpaczy. Boże mój, zmiłuj się! wołał i potrząsał głową.

— Idź, idź — mówił słabnącym, dogorywającym głosem ranny.

— O ja nie zostawię pana.

Słychać było gwar ludzkich głosów i zbliżające się stąpanie kroków.

— Idź Michale, a oddaj papier w Warszawie. Niech ona wie, żem zginął.

— Nie, ja nie pójdę, o, ja nie zostawię pana.

Gwar rósł i kroki coraz się zbliżały więcej.

— Usłuchaj mnie Michale, konający cię proszę, zostaw mnie mojemu losowi, i cóż mi zrobią kiedy już umieram! Idź, idź, słyszysz, są blisko, już ku nam nadchodzą.

Michał stał chwilę niepewnością szarpany, chwiał się, nie wiedział co czynić, nagle porwał się, zabrał z ziemi tajstrę i zarzucił na plecy, schylił się nad rannego do ziemi, uchwycił jego rękę, całował i łzami oblewał.

Tak blisko były kroki, słychać było wyraźne stąpanie. Stanisław jęknął, nie mógł już mówić, tylko oczyma i wstrząśnieniem głowy napominał do spiesznego odejścia.

Michał puścił zimną rękę z swoich rąk; zniżył się więcej do ziemi i schylony w ten sposób posunął się naprzód przez krzaki w przeciwnym od zbliżających się kroków kierunku.

X.

Wiosenne słońce rozbudziło naturę, wszystko zieleniało i kwitło. Na serca ludzkie dziwny wpływ wywarła wiosna, kwitły pod promieniami jasnego słońca!...

Był to piątek według starodawnych wyobrażeń dzień wielce feralny. Pan Mateusz Gruszka siedzi trzeźwiuteńki w warsztacie i poci się nad butem z wysokiemi cholewami: mocna skóra, mocna, tylko jej dużo na cholewy wychodzi — mruczy sobie pod nosem.

Czeladź za przykładem samego pana majstra pospiesza z robotą, nawet Wojtek, który wielką pilnością nie odznaczał się nigdy, zwija się jak umie i kręci przędziwo na dratew.

— Żywo wiara, żywo — komenderuje pan Mateusz. Rozmachały się ręce, dratew skrzypi i trzeszczy skóra.

— Na komendę pana kapitana, żywo! — krzyknął Wojtuś z fantazyą.

Cały warsztst zatrząsł się od głośnego śmiechu, pan majster zażył tabaki, kichnął i mówi: mości dobrodzieju, cicho mi bądź Wojtek, boś jeszcze na żołnierza nie dorósł.

Wojtek poczerwieniał i opuścił nos, był niekontent, że mu się koncept nie udał.

Ku drzwiom zwróciły się wszystkie oczy; wszedł młody chłopak w sukiennym nowym płaszczu, głowę miał obwiązaną brudną, kolorową chustką, wyglądał zbiedzony i wynędzniały.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — pozdrowił obecnych. Na wieki wieków — odpowiedziano mu chórem.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał teraz pan Mateusz zdziwiony, podnosząc się z trójnoga — a to ty Michale, a gdzie twój pan, a gadaj no żywo.

— Gdzie mój pan! a Bóg tam wie gdzie się teraz mój pan obraca — powiedział Michał z westchnieniem.

— A dla Boga świętego! a cóż to się stało — gadaj no człecze.

— Oj źle się stało, źle — mówił Michał, mój pan już nie żyje, zostawiłem go w lesie prawie tak jak umarłego, sam ledwie uciekłem, błądziłem całe trzy dni po lasach i ledwiem się do Warszawy dostał; chwała Bogu, żem przecie już tutaj.

— Co ty mówisz człowiecze! — wołał pan Mateusz załamując ręce — opowiedz no jak to było, gdzie, kiedy! Chryste święty, ktoby się czegoś podobnego spodział!

Michał począł opowiadać jak wiedział, mówił gdzie i kiedy była bitwa, ilu było naszych, ilu tamtych, jak się nasi trzymali, jak musieli cofać, jak ich potem roty przywitały na wyjściu z kotliny, jaka była noc straszna i deszcz lał i biły pioruny, ilu poginęło i jak się reszta przedarła w lesie. Mówił dalej, że się przedarł z drugimi, że się oglądał za panem i nigdzie go nie było, więc się wrócił, by za nim poszukać i znalazł go nad samem ranem rannego, krwią zalanego; ledwie go dotrzeźwił, a był bardzo słaby, już umierający prawie. Byłby go był nie rzucił, ale potem przyszli

trupy obdzierać i grzebać, pan mu napisał karteczkę i kazał oddać u szewca w Warszawie.

Nie chciałem ci go zostawić, ale cóż napisał kartkę i kazał uciekać, juścić go musiałem usłuchać, nie dał sobie nic powiedzieć, tylko kiwał, żebym już szedł sobie, trudnoż się konającemu przeciwić!

— Bożeż mój święty, a to dopiero nieszczęście — narzekał pan Mateusz — taki dobry pan, taki poczciwy, wiedział zawsze, jak z człowiekiem pomówić i uszanował każdego; taka dobra krew i to zmarniało i w niwecz poszło, o, odmień Boże, odmień, bo będzie źle na świecie! Słuchaj no ty człecze, a może twój pan nie umarł, może on takoż jeszcze żyje, wszak powiedziałeś, żeś go żywego zostawił.

— Prawda, zostawiłem go żywego jeszcze, ale już tam długo nie było mu życia, już był taki słaby, że w końcu i palca podnieść nie mógł, tylko oczami mrugał, żebym już szedł sobie. Gdzieby on tam żył jeszcze, kula przestrzeliła mu piersi, przeleciała na wylot przez niego.

— Już nie żyje! umarł, biedactwo, takie to młode, takie ładne jak róża, takie poczciwe, żeby z niego można było zrobić księdza.

Wszystka czeladź słuchała i smuciła się bardzo.; najsmutniejszy był pan Mateusz, łzy jak groch duże kapały mu na długie wąsy, załamywał ręce i płakał jak dziecko.

— No, a gdzież ta karteczka? co to za karteczka co o niej mówiłeś, do kogóż ona ma być?

Michał opuścił rękę i wsadził za cholewę buta, dobył mały, zbrudzony, pomięty kawałek papieru i oddał go panu Mateuszowi. Pan Mateusz założył na nos okulary, podniósł głowę i przeczytał: Do mojej Maryi; na Pradze nad Wisłą.

— Acha! do tej ładnej panny, co się z nią miał żenić; takie to piękne jak aniołek, będzie biedactwo płakało, pewnie się z nią żegna, szkoda człeka, szkoda. Ten papier to ty Wojtek zaniesiesz i samej pannie oddasz do ręki, a będziesz ty tam wiedział trafić?

— Owa, my ztamtąd nie daleko mieszkamy, a ja jużem tam chodził raz z listem, w zimie od tego pana do panny, dała mi złotówkę.

— No, no, zagadaliśmy się tutaj — mówił pan Mateusz — i zapomnieliśmy całkiem o gościu, juścić będzie i głodny. Ano idź tam do imości który, niech nam tu przyszle przekąskę.

Jeden z terminatorów wyleciał do pani majstrowej z rozporządzeniem pana Mateusza, drugi wysłany pobiegł z flaszką po anyżówkę do najbliższej szynkowni, pan Mateusz zawinął się około Michała, zdjął z niego nowy płaszcz sukienny i skórzaną tajstrę, wzdychał, wyrzekał, płakał, mówił często, mości dobrodzieju i wypytywał o wszystkie szczegóły bitwy i śmierci Stanisława, które Michał z największą dokładnością po kilka razy powtarzał.

Pani majstrowa zesłała wnet polską kiełbasę z sosem, tuż była i anyżówka, Michał zapraszany solennie jadł, pił i rozprawiał, dziwowano się jego dobremu apetytowi, dolewano kieliszek i dokładano kiełbasy, litowano nad biedą, jaką przeszedł i życzono mu szczęścia, że wyszedł z niej cało.

Wojtuś tymczasem zasadził na ucho czerwoną krakuskę, zaśpiewał krakowiaka i klepiąc patynkami szedł prosto na Pragę; po drodze to żyda niechcący potrącił. to się zaplątał jakiemu oficerowi pod nogi, dostał szturkańca i szedł dalej nie spuszczając z tonu.

Kiedy doszedł na Pragę, nie szedł prosto jak mu było kazano, ale zawrócił do domu; ciągnęło go zobaczyć co się też tam dzieje, co robią rodzice, których prócz świąt i niedziel w powszednie dnie nie widywał nigdy, gdyż musiał w nie pilnować warsztatu.

Pan Mikołaj siedział zwykłym zwyczajem zadumany i z załamanemi rękami przed stołem i myślał o lepszej przyszłości, mówiąc półgłosem do siebie: jakoś to przecie będzie na świecie.

Pani Katarzyna zwijała się po izdebce raźno i przysłuchiwała się monologowi swego godnego małżonka.

— Oj będzie ci lepiej, będzie! — mówi mimochodem: bieda człowiekowi ledwie oczów nie wyje a ten ci ciągle swoje tu gada. Zkąd ma ci być lepiej człowieku? dziś nie utargowałam jak dwadzieścia groszy, pojutrze trzeba będzie płacić procenta a tu nie ma z czego; trzebaby kupić cebuli, bo mi wszystka wyszła, a tu trudno zebrać grosza, nie ma żyć o czem a temu się ciągle o lepszości marzy. Biedaż moja ciężka, jak ja sobie dam rady na świecie, schnie mi głowa i wymyślić nic nie mogę.

— Nie turbój no się Kasiu tak bardzo, nie przepadniemy na świecie i jakoś to przecie być musi. Stękasz i stękasz a to nie pomoże, u białogłowy długie włosy, a krótki jest rozum; cobym sobie głowę łamał kiedy nie poradzę.

— No to sobie nie mam łamać głowy, mam tak czekać jak i ty póki z nieba coś dobrego niespadnie, a toby nas człowiecze bieda zjadła z kościami! u ciebie krótkie włosy i krótki jest rozum, toś mi rajcą najlepszy.

Dalszą dysputę przerwało wejście Wojtusia.

— A ciebie tu co przyniosło? — pyta pani Katarzyna.

— A ciebie tu co przyniosło? — pyta pan Mikołaj wtórem.

— Wysłał mnie majster z kartką do panny, co to jest dom z ogrodem jej matki, co to wiecie byłem z pismem u niej w zimie i dała mi złotówkę. Ten co przyszedł do naszego majstra, dał dla niej to pismo, mówił, że tego wysokiego pana, co do nas do warsztatu chodził, zabili i że już umarł. Majster bardzo płacze, Bartek chodził po wódkę, piją teraz i jedzą kiełbasę.

Pani Katarzyna słuchała z uwagą, ale przecie nie mogła wyrozumieć tego, co mówił Wojtuś po cichu.

— Gadaj no Wojtek inaczej, kto umarł a kogo zabili, kto przyszedł i jacy piją i jedzą kiełbasę?

— Przyszedł ten co to służył wiecie u tego wysokiego pana, tego pana zabili, że juścić już umarł, a to pismo to jest od niego do panny.

— No to tego pana zabili com go widziała u was, wtedy kiedy byłam z tobą pierwszy raz w warsztacie?

— Tego juścić matusiu. Majster bardzo po nim płacze.

— On się miał żenić z tą panną, co masz jej zanieść to pismo.

— Tak mówił ten co przyszedł.

— Biedactwo, będzie teraz płakało, takie to młode i ładne, a takie dobre; nosiłam tam kilka razy pietruszkę, zobaczyła mnie przez drzwi, wyszła i gadała ze mną, nie wstydziła się pogadać z biedną kobietą, niech jej Bóg za to da szczęście i wszystko złe dla niej na dobre obróci. No, a czemuż ty nie zanosisz do niej pismo, tylko tu przyłazisz?

— Chciałem się popatrzeć po drodze., co się w domu dzieje.

— Nic się w domu nie dzieje, w domu ciężka bieda i koniec, a ty się nie zabawiaj tutaj, bo będą potem na ciebie wymyślać, zabieraj się i idź tak jak ci kazano. Czekaj-no jeszcze Wojtek — powiedziała pani Katarzyna po chwili, kiedy się już Wojtek do wychodu zabierał; — to nie ładnie, żebyś ty tam chodził do tej panny z pismem, daj je tutaj, ja sama zaniosę.

Wojtek dał, pani Katarzyna wdziała kraciastą chustkę na głowę i poszła.

* * *

— Przyszła ta siedziarka co tu była kilka razy z pietruszką — mówiła do Maryi stara Basia — gada, że ma jakieś pismo do samej panny, chciałam, żeby mi dała, ale nie chciała.

Wyszła Marya.

— Cóż powiecie moja poczciwa kobieto? — pyta pani Katarzyny.

— Zem poczciwa to prawda, ale takoż nic nie powiem. Przyniosłam tę kartkę, co ją Wojtek miał zanieść, Wojtek głupi chłopak, myślałam, że na każdy sposób będzie lepiej, kiedy zaniosę ja sama.

Marya wzięła pomięty i zabrudzony papier do ręki, ścisnęło ją za serce, przeczucie jej mówiło coś złego. Przeczytała ołówkiem niekształtnemi literami napisane: Do mojej Maryi. Było to pismo Stanisława, drżącą i słabą ręką pisane. Niżej zaś było: umieram; bądź zdrowa!

Przeczytawszy stała chwilę, jakby skamieniała, chwiała się, krew jej ustępywała z twarzy, w myśli jej stało: bądź zdrowa! to Stanisław mnie żegna; w sercu czuła ból wielki.

Po chwili zakrzykła, potoczyła się i papier wypadł jej z ręki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Kłosy pszenne.

(Legenda).

Koło Krakowa w rozkosznej dolinie,
Gdzie Wisła nasza srebrną wstęgą płynie,
Leży Kościelec, wieś piękna, wesoła,
Sady i niwy wieńczą ją dokoła,
Na których Mazur, kmiotek pracowity,
Owoc swej pracy zbiera — snop obfity.
Tam ludek żyje wesoły, zamożny,
Bo pracowity, trzeźwy i pobożny.

Było to właśnie pod wieczór soboty;
Dojrzewał w polu kłos pszeniczki złoty,
A jęczmień ostrym wąsem najeżony,
Na sierp czekając, pokrywał zagony.
Już gospodarze sprzątają stodoły,
Parobcy jarzma gotują na woły,
Dziewczęta hoże, przy głośnej gawędzie,
Pachnącą rutę zbierają po grzędzie,
A w chatce stojąc, przy dymnym kominie,
Prostą wieczerzę warzą gospodynie.
I cała wioska krząta się tak żywo,
By w poniedziałek już rozpocząć żniwo.

Lecz o, jak płonne są ludzkie nadzieje!
Jutro zapłacze ten, kto dziś się śmieje.
Boskich wyroków nikt zgłębić nie zdoła,
O, wiosko! dzisiaj szczęśliwa, wesoła,
Ty doznasz wkrótce, na jakie odmiany
Człowiek w tej życia pielgrzymce skazany!

Wicher się nagle od północy zrywa
I błękit nieba chmurami pokrywa.
Runął grom. Niebo i ziemia zadrżała,
A grad rozdatra chmura wysypała
I leci z szumem, trzaskiem i hałasem,
I ścina kłosy, ach, ścina przed czasem...
Zabłysnął dzionek i niebo się śmieje,
Ale na ziemi już znikły nadzieje,
Łzom gorzkim radość ustąpić musiała,
Kiedy na pole wyszła wioska cała.
Sąsiad sąsiada żałośnie się pyta;
Gdzieżma pszeniczka? Ach! tutaj... wybita,
Bo ją moc Boska przed czasem złamała
I sierpów naszych już czekać nie chciała.

A gdy tak wszyscy już wkoło dumają
I łzami kłosy złamane zlewają,
Pan wójt gromady z posiwiałym włosem
Takim do wszystkich odzywa się głosem:
„Słuchajcie tylko, słuchajcie gromada,
Tutaj już żadna nie pomoże rada,
Lecz Bóg w tej ciężkiej pocieszy nas biedzie,
Oto ksiądz Jacek wprost tu do nas idzie!“
— „Ksiądz Jacek!“ wszyscy radośnie krzyknęli,
Z uszanowaniem czapki z głowy zdjęli.

„Czegoż tak smutni, pobożni wieśniacy?“
— „Ach, księże, patrzaj, owoc naszej pracy
Oto tu leży! Potłuczone zboże.
Już nikt nam więcej dopomódz nie może.
Ach, cóż to teraz dziać się będzie z nami
I co z biednemi poczniemy dziatkami!“

— „Ach, ludku Boży! kto się Boga boi,
Takiemu rozpacz nigdy nie przystoi;
A gdy was ciężka dziś trapi niedola,
Rzeknijmy razem: Stań się Twoja wola!“
I rzekł i westchnął, na kolana pada,
A z nim przyklęka i cała gromada:
„Wszechmocny Boże, wiekuisty Panie!
Daj, niech to zboże stłuczone powstanie;
Jakoś zasmucił, pociesz lud twój wierny,
Pokaż, o Boże, żeś jest miłosierny!“
Rzekł i ku ziemi korne chyli czoło.
Wtem wójt z przestrachem: „Cud!“ krzyknął wokoło —
„Cudo!“ powtarza gromada zdumiała —
Jakiego jeszcze ziemia nie widziała,
Wszakże w radości nie myli nas oko.
Ach, nie, nie! Kłosy wznoszą się wysoko,
I każdy kłosek ze źdźbłem swem spojony,
Piękniej niż pierwiej pozłocił zagony.
Ach, księże Jacku, wszakto prośby wasze,
Gradem złamane wzniosły kłosy nasze!“
— „Nie mnie, lecz Bogu niechaj będzie chwała!
To, co widzicie, moc Jego zdziałała.“
I to wyrzekłszy, lud pobłogosławił
I do Krakowa Wisłą się przeprawił.

Ksiądz Karol Antoniewicz.



Mamo! mamo!

(Epizod z wojny francuzko-niemieckiej.)

W salonie zamku Longueval, koło Beaugency, leżało nas sześciu rannych oficerów z bitwy pod Coulmiers. Żadnemu nie groziło niebezpieczeństwo, skoro więc minęła gorączka i rany stopniowo zabliźniać się zaczęły, dobry humor powrócił, a z nim ochota do życia.

Wczoraj jeszcze obcy dla siebie, zapoznaliśmy się szybko i niebawem zawiązały się między nami stosunki przyjaźni; połączyły nas węzły krwi, wylanej na jednem polu bitwy.

Wiedzieliśmy, że Prusacy się cofają, że Orlean został odebrany przez wojska francuskie, więc w naszych rozmowach brzmiała nuta wesoła, jakby odbicie zwycięstwa.

Mimo różnicy wieku i stopnia, równość panowała między nami. Przypominaliśmy sobie czasy szkolne, figle i wybryki młodości.

Jeden z nas był już majorem; serdeczny, żywy, wesoły, porywał dowcipem. Udało mu się wymknąć z Sedanu, ale pod Coulmiers dostał dwie kule w udo. Drugi towarzysz odrazu ze szkoły poszedł na pole bitwy i w pierwszem spotkaniu został ranny w bok odłamkiem granatu. Ja byłem kapitanem legii zagranicznej i przybyłem z Afryki przed miesiącem. Kartacz rozorał mi rękę od dłoni do ramienia, nie pozwoliłem jednak ręki sobie odejmować, przekładając śmierć nad kalectwo. Dobrze na tem wyszedłem, gdyż obecnie jestem zdrów i władam doskonale obiema rękoma.

Kapitan artyleryi, zwany przez nas Pepo, był ranny w nogę. Miał pretensye do uczoności i od czasu do czasu zaczynał poważne wykłady o balistyce, przerywane mruczeniem na wszystkich i niedwuznacznemi objawami niezadowolenia. Najbliższym jego sąsiadem był porucznik piechoty, złoty człowiek, ale bardzo gwałtowny; przy każdej sposobności klął jak poganin. Szóstym był młodziutki oficer gwardyi, najciężej ranny ze wszystkich, gdyż kula ugodziła go w piersi.

Wesoło nam było w ambulansie i niejeden dotychczas z rozrzewnieniem wspomina obszerną komnatę pałacową, wyłożoną białym stiukiem ze złotemi prążkami, z malowanym sufitem, na którym różowe amorki trzepotały skrzydełkami, wśród śnieżnych obłoczków i słonecznych lazurów nieba.

Przez wielkie okna widać było drzewa parku, pokryte szronem. Ach! jak to miło leżeć spokojnie w ciepłem łóżku, kiedy wiatr północny huczy po równinach i zawierucha miecie śniegiem.

Prawdziwym promieniem słonecznym dla nas biedaków była Siostra Miłosierdzia, która nas pielęgnowała. Obecność tej świętej istoty wszystko upiększała i rozświecała. Jakaż ona była śliczna! Odwinięte skrzydła białego jej kornetu sprawiały na nas wrażenie skrzydeł anielskich; okalały one różową twarzyczkę jak zorza, z dwojgiem błękitnych oczu, głębokich niby toń morska. Słodki jej uśmiech był najlepszem i najmilszem lekarstwem na nasze cierpienia.

Z jakiem utęsknieniem wyglądaliśmy jej rano! Ukazywała się na progu, jak zjawisko niebiańskie, mówiąc srebrzystym głosem:

— Dzień dobry, moje dzieci, jak się miewacie?

Ileż wdzięku miały w koralowych jej ustach słowa: „moje dzieci“, zwrócone do sześciu żołnierzy, z których kilku miało dwa razy tyle lat co ona. Względem niej byliśmy istotnie dziećmi posłusznemi na każde skinienie.

— Proszę, nie hałasujcie tak — mówiła niekiedy.

Natychmiast w pokoju robiło się cicho, jakby mak siał. Każdy jej rozkaz był dla nas prawem.

— Kapitanie Laroumière, proszę schować ręce pod kołdrę, bo się zaziębisz... Poruczniku Hubard, jeżeli jeszcze raz usłyszę twoje klątwy, przez cały dzień nie przemówię do ciebie ani słowa... Jesteś niegrzeczny, majorze, przewracasz się z boku na bok, kiedy powinieneś leżeć spokojnie.

Czy ty wiesz, aniele Boży, żeśmy cię wszyscy kochali uczuciem tkliwem, pełnem czci, uwielbienia i wdzięczności, świętem jak modlitwa? Czy wiesz, że umyślnie odwijaliśmy z ran bandaże, aby cię dłużej przy sobie zatrzymać? Czy pamiętasz, jak się śmiałaś, kiedy po raz pierwszy nazwaliśmy cię Siostrą Białoręką, zamiast zakonnego imienia Siostry Anastazyi? Ach, jakaś ty była dobra dla nas! Posuwałaś przecież pobłażliwość do tego stopnia, że dla skrócenia chwil, w których nie byłaś w sali, dawałaś nam do czytania romanse, nie patrząc nawet na ich tytuły.

Raz rzekłaś do nas:

— Czy chcecie sprawić mi przyjemność, moje dzieci? Odmówię głośno „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Marya“, a wy po cichu będziecie za mną powtarzali.

Uklękłaś wówczas na środku sali i zwolna odmówiłaś modlitwę, po której sześć szorstkich głosów męskich powiedziało — Amen. Rzewne wspomnienia lat dziecięcych wzruszyły nasze serca, ani jedna dusza nie pozostała obojętną. Kiedy się podniosłaś, byłaś tak piękną, żeśmy nie mogli oderwać oczu od ciebie; nadziemski blask wiary opromieniał młodziutkie twoje lica, oczy jaśniały tryumfem.

O, droga, święta Siostro, aniele nasz, bądź na zawsze błogosławioną!

Nadeszły bolesne chwile. Pomimo usiłowań naszej opiekunki, złe wieści przebiły mury i dostały się do nas.

Szczęście znowu odwróciło się od oręża francuzkiego. Kiedy rankiem Siostra weszła do nas, twarzyczka jej była tak smutna, żeśmy wszyscy wykrzyknęli:

— Co się stało?

Rozpłakała się i składając ręce odrzekła:

— Orlean wzięty, Prusacy wkrótce tu przybędą... O, Boże! zmiłuj się nad nami!

Nikt w tym dniu nie ujrzał słodkiego uśmiechu Siostry. Skończyła się nasza radość, zagasło nasze słońce.

Nazajutrz usłyszeliśmy brzęk szabel w przdsionku, drzwi do salonu otworzyły się gwałtownie i weszło przez nie z wielkim hałasem trzech oficerów pruskich. Towarzyszyła im zakonnica, blada i poważna.

— Ilu jest rannych oficerów? zapytał najstarszy Prusak.

— Sześciu.

— Jak się nazywają i jakie otrzymali rany?

— Oto lista.

— Jesteście jeńcami, panowie. Liczę na waszą uczciwość, że nie będziecie próbowali uciekać, powróciwszy do zdrowia.

— Mylisz się pan, odparł major, zostaliśmy ranni pod Coulmiers, gdzie ponieśliście klęskę, nie byliśmy wzięci do niewoli i nie poddajemy się. Pójdę ztąd, skoro tylko będę mógł, pilnujcie nas, jeżeli chcecie.

— To dobrze. Każę postawić straż przy drzwiach. Zobaczymy, czy panom uda się wymknąć.

— Wymknąłem się przecież z Sedanu. Nauczę kolegów, w jaki sposób się to robi.

— Ależ tu za gorąco, rzekł lekarz niemiecki, to niezdrowo.

Zbliżył się do okna i otworzył je. Fala zimnego powietrza wpadła do sali, młody porucznik gwardyi zakaszlał.

Siostra zamknęła okno.

— Przepraszam pana, ale jestem odpowiedzialna za moich chorych. Zmiana temperatury mogłaby im szkodzić.

Niemcy nie nalegali i wyszli.

Wieczorem porucznik gwardyi coraz częściej kaszlał. Siostra Białoręka spędziła przy nim całą noc i co chwila pochylała się nad łóżkiem, aby śledzić oddech chorego. Widzieliśmy, że paciorki różańca drżały w jej ręku. Rano dostał gorączki, wywiązało się zapalenie płuc.

Lekarz, zbadawszy stan jego, zmarszczył się i zwracając się do zakonnicy, szepnął:

— Przy jego ranie — to rzecz niebezpieczna.

Dzień przeszedł jako tako, ale wieczorem gorączka się wzmogła. Lekarz, odchodząc, smutnie potrząsnął głową. Co za noc! Wiele już widziałem okropności w życiu, ale wspomnienie tej nocy dotychczas rozdziera mi serce.

Z kolei przyszła maligna. Ranny rzucał się niespokojnie i wciąż przyzywał matki.

— Mamo! mamo!... Pocałuj mnie raz jeszcze.

Siostra Białoręka nie odstąpiła go ani na chwilę, zwilżając mu wodą rozpalone usta. Żaden z nas nie zmrużył oka. Przeklinaliśmy naszą bezsilność, która przykuwała nas do łóżka i nie pozwalała dopomódz świętej kobiecie, wątłej jak cień, lecz niezmordowanej.

O trzeciej wysunęła się po cichu i niebawem wróciła z księdzem. Poszła po niego sama, bez względu na noc mroźną, na żołnierzy pruskich, włóczących się gromadami. Kapłan zaczął odmawiać modlitwy, zakonnica i my odpowiadaliśmy — Amen.

— Mamo! mamo! — słabym głosem wołał umierający — pocałuj mnie raz jeszcze.

Rano przyszedł lekarz.

Młodziutki porucznik szepnął znowu:

— Pocałuj mnie, mamo!

Wówczas Siostra Białoręka pochyliła się nad nim i pocałowała go w czoło. Uśmiech szczęścia rozpromienił twarz młodzieńca:

— Dziękuję... mamo!

B. L.

Oberek mazowiecki.

Fontaż — aż ha! czapka — stogiem
Z ucha!
Mazur-ci ja, jak Bóg Bogiem,
Hu-ha!
Mazur-ci ja z nad tej rzeki
Proga.
Przez te równie niedaleki
Boga,
Boć i rzeka i dolina
Sucha.
Precz ku niebu się rozpina —
Hu-ha!

*

Swoją ziemią, swoim lasem,
Chodzę sobie obertasem,
Chodzę zawżdy w jednem kole,
Ano, w onej Wisły dole,
A jak przyjdzie mi potrzeba,
Pójdę w przełaj aż do nieba.
Jużci wtedy każdy powie:
Nie właź w drogę Mazurowi!

*

Nastąpcie się, ano wiecie,
Z drogi,
Bo ci z lewej idę przecie
Nogi.
„Ślepy od-sie!“ — głupi zgoła
Szydzi,
Mazur bowiem dobrze z koła
Widzi.
Nie zmroczysz go, choć do rana,
Zucha,
Hej sukmana — podkasana —
Hu-ha!

*

W prawo — jedno, w lewo — dwoje,
I to swoje, i to swoje:
Boża Męka, głąb daleka
I ta Wisła, modra rzeka
Dokoluśka równa gleba,
Aż do Boga, aż do nieba
Niech-ta sobie, kto chce, szydzi...
Mazur ślepy... Przecie widzi.

*

Nasuńcie się, ano przecie
Dalej,
Bo to Mazur z góry, wiecie,
Wali,
Nasuń-że się, Niemcze kusy,
Z boku,
Bym ci nie miał zaś pokusy
W tłoku.
Wiem, co moje! Nie dam póki
Ducha!
Mazur-ci ja! syny, wnuki...
Hu-ha!...

*

Siedzi Mazur, siedzieć będzie,
Jak u Boga na urzędzie,
Chodzi zawsze w jednem kole
Głodziusieńko w Wisły dole.
Patrzy w pole — dość ma chleba,
Patrzy w okół — dość ma nieba,
Patrzy w Wisłę — srebrna droga
I do morza i do Boga.

*

Szuru — szuru, zawierucha
Kręgiem,
Pokrzykuje Mazur: hu-ha!
Ciągiem,
Przyklękuje i zamiata
Nogą,
Aż ci słupem pył uplata
Drogą.
Pochyla się ku tej głębie —
Słucha...
Mazur-ci ja, jak Bóg w niebie!
Hu-ha.

*

Ej, nie tobie, tak z kochania,
Dziewucho, się Mazur kłania!
Kłania-ci się onej glebie,
Panu Bogu tam na niebie,
Przyklękuje przed tą ziemią,
W której prochy dziadów drzemią;
Wiśle, którą zna z młodości,
Grobom, kędy złoży kości,
Hej, z kochania, z miłowania
Mazur-ci się, aż w proch słania!

*

Mazur-ci ja rodowity
W glebie,
I chłop z chłopa samowity
Z siebie.
Mazur-ci ja, z nad tej rzeki
Proga,
Przez te równie niedaleki
Boga.
Fontaż — aż ha! czapka — stogiem
Z ucha!
Mazur-ci ja, jak Bóg Bogiem,
Hu-ha!

Bożydar.



Kronika.

A więc nareszcie Poznań będzie wyswobodzony — ale oczywiście nie od grasujących w nim coraz uporczywiej hakatystów, nie wyswobodzony z atmosfery przykrej, jaka się w nim skutkiem hakatyzmu rozpościera, jeno z więzów, które dotąd tamowały normalny rozwój miasta, a które pod postacią ogromnych wałów i bram licznych ciasnym ściskały go pierścieniem. „Rząd pruski nabył od fiskusa wojskowego cały pas fortyfikacyjny, ażeby go ofiarować Poznaniowi“, taką wiadomość przyniósł telegraf z jednoczesnem oznajmieniem, że wyrównanie terenu ma być bezwłocznie podjęte.

Jak zwykle w takich wypadkach tak i tym razem w świecie finansowym na wieść powyższą poruszyły się raźno roz-

liczne kombinacye, rachuby, przewidywania. „Co się stanie teraz z gruntami spekulacyjnemi na przedmieściach“, „co będzie z domami wewnątrz dotychczasowego pasa fortyfikacyjnego“, „czy grunty przedmiejskie spadną w cenie“, „czy domy i mieszkania w środku miasta stanieją, czy może jeszcze pójdą w górę?“ — Oto pytania gorączkowe, stawiane w kołach interesowanych. Odpowiedzi biegłych i ekspertów brzmią naturalnie rozmaicie. „Grunty stanieją“, „środek miasta straci“, mówią pesymiści, optymiści zaś w zupełnie przeciwny argumentują sposób. A słuszność zapewne jest i pozostanie na linii średnicy, u tych, którzy rozważając spokojnie, dochodzą do wniosku, że zniesienie wałów, tak długo przygotowane i dziesiątki lat wymagające czasu, nie wywrze na wartość gruntów przedmiejskich i środkowych tak gwałtownego wpływu, iżby posiedziciele i spekulanci nadzwyczajnych korzyści lub strat obawiać się mieli. Co zaś zdaje się najpewniejszem z wszelkich przewidywań, to że domy w środku miasta raczej zyskać niż stracić mogą, bo wszakże ku środkowi grawituje ruch po miastach, chociaż obwód ich do nadzwyczajnych rozrasta się rozmiarów.

Mniej różowo przedstawiają się widoki gruntów na dawniejszych przedmieściach, włączonych do Poznania. Obszary bliżej miasta leżące zyskają niewątpliwie, natomiast odległe posiadłości, do których zagnała niejednego żądza szybkiego dorobku i gorączka spekulacyjna, zapewne nie prędki zyskają pokup, a stagnacya obecna, grożąca nawet ruiną majątkową licznym jednostkom, potrwać może lata całe. Ale może Poznaniowi przeznaczonym jest rozwój tak wielki i tak prędki, że nawet dalsze dzielnice mimo wyrównania fortyfikacyjnego terenu zabudują się szczelnie i gęsto się zaludnią — może!

Ale tymczasem trudno nie dostrzedz, że zapanowała jakaś cisza i niechęć do spekulacyi na parcele przedmiejskie, a po gorączkowych kalkulacyach nastało trzeźwe rozpoznanie, że na długi czas wypada uwięzić kapitał i opłacać bezpożytecznie procenty wysokie, jeśli się chce odczekać lepszych czasów.

Tym więcej zaś chwila obecna zaleca trzeźwości, że i na prowincyi, z powodu niepomyślnych plonów, panuje ekonomiczne przygnębienie; a przecież powodzenie i rozwój Poznania, jako stolicy przeważnie rolniczej prowincyi, głównie od jej pomyślności zależy. Tym gorzej Poznaniowi, im gorzej prowincyi.

A złe, bardzo złe wieści nadbiegają z rozmaitych okolic Księstwa. Niekiedy, gdy się słyszy jednę złą wróżbę po drugiej, nabiera się wrażenia, jakbyśmy byli w przededniu licznych bankructw i subhast. Targi z komisyą kolonizacyjną podobno znowu w żywsze wstąpić mają stadyum. Agenci tej instytucyi krzątają się rażno, ażeby napełnić kiesę pruskiemi dukatami, a następnie rozbijać się karetami po bruku poznańskim, jakby na urągowisko tym, którzy się oburzają na szacherkę ludzi o polskiem nazwisku a znikczemniałem sercu. Żeby przynajmniej taki szachraj swej nędzy moralnej nie przystrajał publicznie w złudny szych lokajów i ekwipaży, a nie dodawał szampańskiego szumu wstrętnym mętom upadłej moralności!

Chochlik.



†

Nekrologia.



S. p. Zbigniew Edmund Brodowski.

O zmarłym zamieściliśmy w ostatnim numerze 34-ym nekrologię, którą uzupełniamy jeszcze następującą łaskawie nam nadesłaną notatką:

W zmarłym traci Polonia amerykańska jednego z najwybitniejszych swych przedstawicieli, a Polska obywatela wielkiej miary. Własną usilną pracą, połączoną z olbrzymią energią, wysokiemi zdolnościami i porywającą wymową wyrobił sobie ś. p. Zbigniew Brodowski tak wysokie stanowisko konsula i to jako pierwszy Polak. Jako prezes długoletni Związku narodowego oraz redaktor organu tegoż Związku „Zgody“ położył on olbrzymie zasługi koło polskości w Ameryce, a szlachetność i prawość jego była tak wielka, że nawet najwięksi jego nieprzyjaciele polityczni z wielkiem uznaniem o ś. p. Z. B. się wyrażali.

S. p. Zbigniew Brodowski urodził się w roku 1852 w Poznaniu, do gimnazyum uczęszczał w Ostrowie i Śremie, gdzie zdał maturę, studya zaś uniwersyteckie odbył w Wrocławiu, zkąd przed laty około 30-stu udał się do Ameryki. Z początku mieszkał w St. Francisco, później w Milwaukee i Chicago. W roku 1897 mianowanym został przez prezydenta Mac Kinleya konsulem amerykańskim w Wrocławiu, lecz rząd pruski nie zatwierdził go na tem stanowisku z obawy, aby jako Polak całego Śląska nie spolszczył.

S. p. Zbigniew Brodowski osierocił ojca, starca około 80 letniego, znanego zaszczytnie w Pleszewie, a ogólnie szanowanego radcę Brodowskiego, który w zgasłym traci jedynego swego syna, oraz żonę i troje małoletnich dzieci. Wszystkim im przesyłamy wyrazy serdecznego współczucia.

Cześć pamięci męża nieskazitelnego, szlachetnego patryoty!

Piśmiennictwo.

Drukarnia i Księgarnia „św. Wojciecha w Poznaniu, chcąc zaradzić ogólnemu brakowi odczytów popularnych, rozpoczęła takowe wydawać własnym nakładem. Co dopiero opuścił prasę zeszyt I-szy i traktuje *sprawę wychowania dzieci rzemieślników*. Odczyt ten napisał przystępnie i umiejętnie redaktor, pan Dyonizy Królikowski z Poznania.

Wydawnictwo powyższe polecamy Towarzystwom naszym w kraju i na obczyźnie. *Lector.*

Wiadomości.

— ***Baczność! Nowo przybyli abonenci otrzymają bezpłatnie prócz początku drukujących się powieści wszystkie te numery „Pracy," w których dotychczas zamieszczony był malowniczy opis Wielkopolski, jeżeli nam nadeślą na dowód kwit abonamentowy oraz znaczek 20-to fenygowy na portoryum.***

— **Drobne** inseraty czyli ogłoszenia przyjmujemy tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości.

Administracya „Pracy."

— **Sokół towarzystwem „politycznem."** W maju rb. siedmiu członkom zarządu Sokoła poznańskiego nałożyła policya po 15 marek kary za to, że nie donieśli policyi o wstąpieniu 17 nowych członków do towarzystwa. Przeciwko mandatowi karnemu interesowani założyli protest, skutkiem czego sprawę tę rozpatrywał tutejszy sąd ławniczy, który mimo świetnej obrony p. mecenasa dr. Celichowskiego zawyrokował, że *Sokół poznański jest towarzystwem politycznem*. Karę nałożoną przez policyą sąd uznał za zbyt niską i skazał prezesa i wiceprezesa każdego po 50 marek kary; resztę członków zarządu uwolnił. Z wyroku tego wynika nauka, iż w państwie pruskiem nawet pielęgnowanie gimnastyki uchodzi za czynność polityczną, — jeżeli uprawiają ją Polacy, bo wątpimy, czy towarzystwo „turnerów" niemieckich sąd uznałby za polityczne.

— **Przypominamy** Szanownej Publiczności miasta i prowincyi, że wielkie wyścigi kolarskie oddziału kołowników Sokoła Poznańskiego odbędą się w niedzielę dnia 1-go września r. b. na torze w Szelągu. Początek o godzinie $3^1/_2$ po południu (patrz ogłoszenie.)

— **Propozycye** wyścigów Oddziału Kołowników „Sokoła" Poznańskiego na torze Poznańskim w Szelągu (400 metrów) w niedzielę, dnia 1 września 1901 o godzinie $3\ ^1/_2$ po południu.

1. Wyścig nowicyuszów, 200 metrów — 5 okrążeń, przystępny dla członków Oddziałów kolarskich sokolich, którzy jeszcze w publicznym wyścigu nie uzyskali nagród. Wpisowe mr. 2, 3 medale.

2. Wyścig główny międzynarodowy, przystępny dla amatorów, 4000 metrów, 10 okrążeń. Wpisowe mr. 3, 3 medale: złoty, wartości mr. 40, srebrny pozłacany większy, srebrny pozłacany mniejszy i nagroda wartości mr. 30 dlatego, który przez pewną linią toru najczęściej przejedzie pierwszym.

3. Wyścig pieszy, przystępny dla członków Tow. gimn. „Sokół" w Poznaniu. 4000 metrów. Wpisowe mr. 1. 3 żetony.

4. Wyścig o mistrzostwo „Sokoła", przystępny dla członków Oddziałów kolarskich sokolich, należących do Zjednoczenia; 400 metrów, 10 okrążeń. Rekord 7 minut. Wpisowe mr. 3. Szarfa różowa na rok 1901, 3 medale.

5. Wyścig międzynarodowy z ustępstwami, przystępny dla amatorów, 2400 metrów, 6 okrążeń. Wpisowe mr. 3, 3 medale.

6. Wyścig pieszy, przystępny dla uczniów Tow. gimn. „Sokół" w Poznaniu, 400 metrów, 3 upominki.

7. Wyścig z ustępstwami dla członków Oddziałów kolarskich sokolich Rzeszy Niemieckiej, 2400 metrów, 6 okrążeń, wpisowe mr. 3, 3 medale.

8. Wyścig seniorów, 1600 metrów. 4 okrążenia, przystępny dla członków Oddziałów kolarskich sokolich, liczących ponad lat 33. Wpisowe mr. 3, 3 medale.

9. Wyścig niebieskich i czerwonych pomiędzy zwycięzcami z biegu o mistrzostwo i głównego biegu międzynarodowego, z dwóch przeciwległych krańcy toru, 3 medale.

10. Wyścig pocieszenia dla wszystkich, którzy w poprzednich biegach nie odebrali żadnej nagrody. Wpisowe mr. 2, 3 upominki.

Wyścigi odbywają się podług przepisów wyścigowych Zjednoczonych Oddziałów kolarskich sokolich i każdy biorący udział winien się z takowymi zapoznać i do nich zupełnie się zastósować.

— **Teatr poznański.** W październiku przypada rocznica ćwierćwiekowa otwarcia własnego gmachu dla teatru polskiego w Poznaniu. Z tej okazyi jeden z zamożnych i czynnych obywateli tutejszych ofiarował poważną sumę na odnowienie budynku wewnątrz i zewnątrz, oraz na przebudowanie wejść, urządzenie kontramarkarni itp. Jubileusz teatru obchodzony ma być uroczyście, tem więcej, że w tym samym czasie dyr. Edmund Ryger kończy 30 lat pracy na scenie. Personał teatru poznańskiego wzmocniony został nowemi siłami, zrekrutowanemi z wybitniejszych wychowańców szkoły dykcyi i deklamacyi.

— **W sprawie zniesienia wewnętrznych wałów w Poznaniu** ukończone zostały układy pomiędzy ministrem skarbu i ministrem wojny a urzędem skarbu rzeszy niemieckiej. Aby zniesienie wałów o ile możności przyśpieszyć, ma kupić państwo pruskie rzeczone terytorya od rzeszy niemieckiej za cenę 11 i ćwierć miliona marek, płatnych w rocznych ratach po 3 miliony. Pierwsza 3 milionowa rata ma być wstawioną zaraz w przyszłoroczny budżet państwowy. W ten sposób uda się załatwić tak ważną dla rozwoju miasta Poznania sprawę.

— **W sprawie sprzedaży Proch,** odbieramy pismo następujące;

„Wiadomości, ogłoszone w dziennikach, że hrabia Maksymilian Potworowski sprzedał dobra swe Prochy w powiecie śmigielskim p. Szczepkowskiemu, a tenże wkrótce potem komisyi kolonizacyjnej, zgadzają się z prawdą. Szczegóły dotyczące tej sprawy sam hrabia Potworowski niezadługo ogłosi.

Niechaj więc opinia publiczna wstrzyma się z wyrokiem aż do czasu ogłoszenia. Chwilowo my niżej podpisani, którym sprawa ta znaną jest dokładnie, zaręczamy, że hr. Potworowski nie zasłużył na zarzuty, poczynione mu w niektórych dziennikach, lecz że raczej był w sprawie tej ofiarą. Uważamy zarazem za konieczne ostrzedz nasze społeczeństwo przed p. Janem Szczepkowskim, byłym właścicielem Stopnicy w powiecie samborskim w Galicyi, i synem jego Antonim, którzy w sprawie sprzedaży Proch dopuścili się kłamstwa i podstępu, również i przed kupcem Maurycym Kristeler z Freystadt/N Schlesien, jako agentem komisyi kolonizacyjnej.

Marceli Czarnecki, z Rakoniewic. *Jan Potworowski*, z Parzenczewa.

— **W sprawie sprzedaży Proch** zamieszczamy jeszcze pismo następujące:

„Odebrałem dopiero dzisiaj numer sobotni „Dziennika Poznańskiego", w którym wyczytałem, że majątek Prochy sprzedał hr. Potworowski panu Szczepkowskiemu, który po trzech tygodniach miał sprzedać go komisyi kolonizacyjnej. O ile mi wiadomo, mieszka tylko w Wielkiem Ks. Poznańskiem, oprócz mnie, dwóch jeszcze moich braci: Władysław Szczepkowski, właściciel Sławina i Pacanowic, i drugi Aleksander, właściciel Gurowa. Żaden z nas Proch nie kupił. Proszę więc Szanowną Redakcyą o łaskawe sprostowanie, jak temu panu Szczepkowskiemu na imię i z których stron pochodzi.

Z szacunkiem
Ludwik Szczepkowski.
Śmiełów, 27 sierpnia 1901.
poczta Gostyczyna."

Powtarzamy, że obżałowani są pp. Jan i Antoni Szczepkowscy, pospolici przybłędy z Galicyi, którzy z zacnym i ogólnie poważanym domem Szczepkowskich z Wielkopolski nie mają zgoła nic wspólnego.

Do kwestyi sprzedaży „Proch" powrócimy jeszcze w przyszłym numerze — w artykule wstępnym.

— **Zwracamy** uwagę na anons ziomka naszego p. dra *Antoniego Seydy,* chemika z Hamburga, który kupił tutajszą farbiarnią i pralnią chemiczną od p. *G. Schaera.* Jako specyalność traktuje p. dr. Seyda czyszczenie chemiczne mebli wyściełanych *w całości* oraz wszelkich paramentów kościelnych (ornatów, kobierców i t. p.)

Nie wątpimy, że przedsiębiorstwo to ogólne zyska poparcie w społeczeństwie naszem. Szczęść Boże rodakowi!

— **O pożyczkę** prosi pewien student, by módz ukończyć studya. Na odnośny anons zwracamy uwagę.

— **P. F. Mellin,** nauczyciel handlowy w Poznaniu przy W. Garbarach 14, udziela lekcyi pisania maszyną, stenografii i buchalteryi. Bliższe szczegóły podane są w odnośnem ogłoszeniu.

— **Pan Józef Grzesiński** przejął z dniem 4-go sierpnia r. b. w drodze kupna od p. Stolpego handel towarów kolonialnych, win, cygar i destylacyą w Lesznie. Interes ten p. G. prowadzić będzie nadal pod dotychczasową firmą „A. Kuśnierski." Rodakowi szczęść Boże!

— **Wystawa towarzystwa zoologicznego,** istniejącego w Poznaniu dopiero dwa lata, udała się bardzo dobrze. Wystawa trwała trzy dni. Otworzył ją w ubiegłą sobotę przewodniczący, fabrykant p. Asch, a gości oprowadzał drugi przewodniczący, sztukator

p. *Raczyborski*. W sobotę, niedzielę i poniedziałek zwiedziło wystawę kilka tysięcy osób. Z dziesięciu nagród honorowych otrzymali cztery Polacy, panowie: kantor tumski *Juszkiewicz*, sztukator *Raczyborski*, gospodarze *Maksymilian Palacz* z Jeżyc i *Jeske* z Łowencina. Z 12 pierwszych nagród 3 otrzymali Polacy pp. *Juszkiewicz*, *Bronisław Śniegocki* (właściciel firmy „Centralna Drogerya — Universum") i *Drygas*, wszyscy z Poznania. Drugich nagród rozdano 15; z Polaków otrzymali je pp. *Raczyborski* i gospodarz *Jeske*. Na 13 trzecich nagród przypadły dwie Polakom, pp. *Raczyborskiemu* i *Golaszewskiemu* z Kuklinowa.

— **Na odbudowanie** wieży na Jasnej Górze złożył w dalszym ciągu p. M. W. z Żabikowa 3 mrk.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 579 mrk. 24 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Proces akademików polskich** o tajne związki, odroczony dnia 13-go lipca przez poznańską izbę karną, rozpocznie się znowu w końcu września, prawdopodobnie dnia 26 września. Sądy zamiejscowe odbywają jeszcze przesłuchy świadków. Przesłuchy te skończą się w piewszych dniach września.

— **W procesie gimnazyastów**, który jak wiadomo, rozpocznie się dnia 9-go września w Toruniu — przewodniczyć będzie głośny z wyborów p. Grassmann, dyrektor sądu ziemiańskiego i poseł do parlamentu.

— **Ślub.** Dnia 21 z. m. zawarty został związek małżeński między panem Antonim Biegańskim z Potulic, synem Władysława i Laury z Kraszkowskich a hrabianką, Maryą Szołdrską z Żydowa, córką Jana i Antoniny z Żychlińskich. Związek ten pobłogosławił wuj panny młodej, ksiądz prałat Szołdrski, w kościele parafialnym w Sobocie, poczem rodzina panny młodej podejmowała swych gości z staropolską gościnnością. Wczoraj wyjechała młoda para do Potulic, majętności, która przez dwa wieki przeszło pozostaje w ręku Biegańskich, gdzie licznie zebrany lud witał serdecznie swoją nową panią. Szczęść Boże młodej parze!

— **Ślub.** Dnia 12 sierpnia r. b. pobłogosławiony został we farze gostyńskiej związek małżeński pomiędzy p. Feliksem Szczesnowskim, kupcem z Poznania, a p. Maryą, córką Wincentego i Klary Sobkowskich z Gostynia. Aktu ślubnego dopełnił ks. dr. Sobkowski, prob. ze Starego Gostynia, w asystencyi miejscowego duchowieństwa i kleryka Nowaka z Poznania. Młodej parze szczęść Boże!

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Czołem!** Towarzystwo Gimn. „Sokół" w Śremie urządza w niedzielę, dnia 1-go września 1901 roku w Dolsku w Strzelnicy zabawę ludową.

Program:

1. Koncert instrumentalny.
2. Popisy gimnastyczne i reje kołowników.
3. Budowa piramid.
4. Gry towarzyskie.
5. Strzelanie do tarczy o premie.
6. Tańce.
7. Sztuczne ognie.

Początek o godzinie 4-tej po południu. Wstępne 25 fen. od osoby, dla dzieci i uczni 10 fen. O liczny udział uprasza

Wydział „Sokoła."

W razie niepogody odbędzie się zabawa w następną niedzielę.

Od Redakcyi.

Stachowi z nad Warty. — Wiersz p. t. „Mój ideał" powędrował do kosza.

Astrowi. — Do kosza!

W Min... — Wiersz nie ma żadnej wartości ani w formie, ani w treści.

Panu A. B. w Elgnówku. — Jeżeli ktoś dzierżawi kuźnię, a więc jest samodzielnym majstrem, natenczas ani on sam, ani też wydzierżawiający (właściciel wsi) nie jest obowiązanym do wlepiania znaczków w kartę kwitową, co do zabezpieczenia na starość lub wypadki (kalectwo).

Panu F. L. w Bytomiu. — Urzędnik stanu cywilnego jest obowiązany do zapisania w rejestrze urodzeń takiego imienia, jakie ojciec lub matka mu poda, a więc naprzykład Wacław a nie Wenzel, Władysław a nie Wladislaus i t. d. Obok imienia polskiego wolno jest urzędnikowi stanu cywilnego wpisać imię to w nawiasie po niemiecku n. p. Wawrzyn (Lorenz). — Jeżeli nie chce zapisać imienia po polsku, może ojciec oświadczyć, iż protokółu nie podpisze, do podpisania nikt go wtenczas zmusić nie może. Ojciec zrobił wtenczas swoje, bo doniósł o urodzeniu dziecka i podał imię jego. (§§ 17 i 22 Nr. 4 prawa 26 lutego 1875.)

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy" **Wincenty Szmytkowski.**

Nieporozumienie:

Żebrak: — Przed rokiem darował mi pan starą kamizelkę... W kieszonce znalazłem sto marek...

Pan A. — I przyszedłeś mi je oddać?

Żebrak: — Nie, tylko zapytać, czy pan nie ma więcej kamizelek starych do rozdania?

— Izydor, ty podobno zginąłesz w pojedynku?

— Nie zginąłem, tylko w pore uczekłem.

Między przyjaciołmi

— Cóż tak dziś nosa zadzierasz?

— Phy, mój kochany, ja wczoraj *obracałem* miljonami!

— Kpisz, czy co?

— A tak, tańczyłem wczoraj na zabawie z Goldbaronówną, która ma miljony posagu!


Przeszło 500 pracowników.

Chcesz pan palić co dobrego?
to polecamy 335

„Salem Aleikum“ papieros czysto turecki i pod gwarancyą ręcznego wyrobu.

Papierosy te sprzedaje się tylko luźno, bez korkowego i złotego mundsztuku.
Kupując ten **wyrób**, jesteś Pan pewien, że płacisz za **jakość** a nie za **wyrób**.
Numera na papierosach oznaczają ich cenę.
Nr. **3**: kosztuje **3** fen., Nr. **4** : **4** fen., Nr. **5** : **5** fen., Nr. **6** : **6** fen., Nr. **8** : **8** fen., Nr. **10** : **10** fen. sztuka.
Tylko wtenczas prawdziwe, jeżeli na papierosie cała firma podana:

Wschodnia fabryka papierosów i tabaki „Yenidze“ w Dreznie.

„Salem Aleikum“ jest prawnie zastrzeżone. Przestrzega się przed podrabianiem
Do nabycia w składach cygar i papierosów.

Tanie książki!

Asem 40 f., Genowefa 40 f., Bolesław 50 f., Głos synogarlicy 1 m., Gawędziarz 50 f., Hirlanda 40 f., Historya o królewiczu 40 f., Historya o wiecznym żydzie 20 f., Jaskinia Beatusa 1 m., Koszyk kwiatów 50 f., Lampa czarodziejska 40 f., Listownik 50 f., Oracye 30 f., Przeraźliwe echo 60 f., Sąd ostateczny 40 f., Sybilla 40 f., Sowizdrzał 40 f., Śpiewnik polski 50 f., Toastnik 50 f. poleca 236
W. Fiałek w Chełmnie
(Culm W/Pr.)

Biuro miernicze i melioracyjne
Pankalla & Krenz
Poznań, ulica Pawła Nr. 9, 514
(Paulikirchstrasse)
podejmuje wszelkie prace w zakres miernictwa i melioracyi wchodzące, specyalnie roboty drenarskie, osuszanie pól i łąk, irygacye, kultury murszowe i t. p.

10% rabatu

udzielam mimo znanych **nizkich cen** przy zakupnie 444

latowego towaru,

ponieważ mam jeszcze wielkie zapasy, ubiory latowe, płaszcze od kurzu i gumowe, haweloki, żakiety, jupy, spodnie, **ubiorki dla chłopców** itd. itd. — Ceny normalne, od których teraz **10% odchodzi,** przy każdym przedmiocie drukiem oznaczone.

K. Kużaj,
Poznań, Wrocławska 13/14.
Inowrocław, Rynek 21.
Hurtownie! Detalicznie!

Przedewszystkiem obowiązek.

Przechodzień, (budząc zaspanego stróża nocnego) — Halo! Halo!

Stróż. Cicho! Pan się dopuszcza występku przeszkadzania urzędnikowi w czasie spełniania publicznej służby.

J. K. Jasielski
adwokat ludowy
(pozasł. aktuaryusz sądowy)
w Poznaniu,
Stary Rynek 88 II ptr.
spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.

Kawy

palone od 80 fen. do 2,00 mk.
surowe od 70 fen. do 1,80 mk. za funt,
wypróbowane wyborne w smaku 244

Herbaty

od 1,50 do 10 mk. za funt poleca

W. Becker, właśc. M. Łukomski,
Plac Wilhelmowski 14, róg Teatralnej.

Dlaczego?

Wdzięczność i uwielbienie
Wielkie w życiu budzi,
Kto z zaparciem się własnem —
Kocha wszystkich *ludzi.*

A zaś na placu boju,
Gdzie moc armat wyje,
Największym bohaterem —
Kto więcej *ich bije...*

Jako **najlepszą książkę do gotowania** p. t.

Kuchnia polska
w oprawie 2,50 mr.
franko za tom za nadesłaniem należytości (w znaczkach poczt.) wysyła 504
Ernst Lambeck Thorn.

Papierosy z fabryki SULIMA są najlepsze.
Produkcya roczna 163 miliony.

Jedyna jeneralna agentura i główny skład
S. Żychliński w Poznaniu.
Cygara w największym wyborze.

Dobre mydło
kupuje się w fabryce 42
St. Żychlińskiego w Gnieźnie.
Piegi usuwa i konserwuje płeć
hygieniczne mydełko lanolinowe.
Premiowane na wystawie
Przyrodniczo-lekarskiej w Krakowie.

Wystawa Przyrodniczo-Lekarska · X Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich w Krakowie w uznaniu umiejętnej pracy · 1900

Premiow. w Krakowie 1900
na wystawie Przyrodniczo-lekarskiej.

Vita brevis ars longa

Skład korzenny i krótkich towarów,
dobre położenie w Poznaniu do odprzedania. 567
Zgłoszenia do eksp. „Pracy“ pod lit. W. nr. 567.

Buchalterka
w starszym wieku, obeznana dokładnie z buchalteryą pojed. oraz korespondencyą polską i niemiecką może się zaraz zgłosić lub od 1/10 b. r. do
J. Długońskiego, 595
skład delikatesów, win etc.
Pr. Starogard (Pr. Stargard).
Oferty z podaniem pensyi przy wolnym stole i stancyi uprasza się wprost nadesłać.

Do znacznego starego renomowanego handlu poszukuje się 600

cichego spólnika

z kapitałem 5 do 10,000 marek, albo też zdatnego

pomocnika handlowego

z takimże kapitałem, któryby był zdatny na podróżującego.
Oferty post restante Poznań nr. 333.



Naboje nabite, Weidmannsheil
kilkakrotnie premiowane 593
Zjednoczonej fabryki prochu Köln-Rottweiler
poleca po cenach fabrycznych
Skład tulejek, prochu i śrótu
J. Chylewski—Buk.

Uprasza się o podanie miasta, gdzieby można założyć z powodzeniem

handel zboża i artykułów pastewnych.

Zgłoszenia przyjmuje eksp. „Pracy“ pod lit. G. nr.563.

W redakcyi.

— Zanim przyjmę pana do grona współpracowników, winienem wyjaśnić, że pismo moje jest prowadzone w duchu konserwatywnym.

— A to wybornie się składa, panie redaktorze, bo ja mam zapalenie oczu i zawsze noszę na nosie konserwy.

Promienie Roentgena.

— Patrz mężu, jak te drogie kamienie promienieją, zapewne niczem promienie Roentgena.

— O! to odejdźmy czemprędzej, ażeby nie zobaczono, co jest w moim pugilaresie.

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für den Monat September die in Posen erscheinende Wochenschrift

„PRACA”

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

für 42 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 42 Pfg. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post ....

Prosimy odciąć.



Jan III Sobieski przyjmuje poselstwo.

(Patrz artykuł p. t. Odsiecz Wiednia.)

Rysował Walery Eljasz.

Album „Pracy.“

Drukiem „Pracy.“